

KAREN ROSE
SMITH

Lekarz własnej duszy

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dane Cameron nie znał Nowego Meksyku. Był tu tylko raz na jakiejś naukowej sesji, ale wtedy prawie nie opuszczał sali konferencyjnej. Zresztą tamten pobyt należał do zamierchłej przeszłości, która już nie powróci...

Dochodziła piąta po południu, ale słońce nic sobie z tego nie robiło i dalej płonęło na turkusowym niebie.

Dane wjechał do Red Bluff i, zgodnie ze wskazówkami właściciela motelu, minął biuro szeryfa, skwerek oraz kilka domów. Po prawej stronie ujrzał znak placówki medycznej i skręcił na parking, na którym stały dwa samochody.

Miał nadzieję, że niewielka przychodnia jest jeszcze otwarta. Chciał jak najszybciej zobaczyć swoje nowe miejsce pracy. Po niemal dwóch latach wegetacji i braku zainteresowania czymkolwiek, sam był zdziwiony swoją niecierpliwością.

Wszedł do przychodni i znalazł się w dobrze znanym otoczeniu. Egzotyka nowej krainy nagle zniknęła. Wszystko, co odróżniało Nowy Meksyk od Nowej Anglii, pozostało za drzwiami.

No, może niezupełnie. W izbie przyjęć udekorowanej ludowymi meksykańskimi wyrobami rozbrzmiewał język hiszpański, a drzwi wiodące do rejestracji zdobiły czerwonobrazowe strączki chili.

W środku nie było nikogo i Dane poszedł w kierunku gabinetu lekarskiego, skąd dochodziły głosy. Przez uchylone drzwi zajrzał do środka i oniemiał. Młoda lekarka w białym fartuchu, ze słuchawkami na szyi, przykuła jego wzrok swą niezwykłą urodą. Była wysoka, smukła i śniada. Przypominała mu gazelę i... Jej niezwykła uroda miała w sobie coś niezemskiego i Dane nie potrafił dokończyć porównania.

Ach, więc to jest doktor Maria Youngbear, pomyślał. Przez telefon miała co prawda niezwykle podniecający głos, ale nie przypuszczał, że reszta jest aż taka...

Analizowanie tego niezwykłego stanu rzeczy przerwał mu rozpaczliwy krzyk dobiegający z poczekalni.

- Doktor Youngbear! Gdzie pani jest?

Szybkim krokiem zawrócił do poczekalni i ujrzał dwóch mężczyzn w szarych uniformach. Młodszy z nich miał obrzmiałą, pokrytą czerwonymi plamami twarz i spuchnięte wargi.

- Pocięły go osy! - wyjaśnił zdenerwowanym głosem starszy. - Mówi, że puchnie mu gardło.

Dane zrozumiał, że nie ma chwili do stracenia. Tak silna reakcja alergiczna może się skończyć nawet śmiercią.

- Jestem lekarzem - oświadczył i niezwłocznie poprowadził obu mężczyzn do najbliższego gabinetu.

Hałas wywabił na korytarz Marię Youngbear. Obrzuciwszy wzrokiem Dane'a, spojrzała na młodego mężczyznę.

- Rod! Co ci się stało?

- Trzeba go natychmiast odczulić i podać mu benadryl. - Dane nie dopuścił pacjenta do głosu. - Jestem doktor Cameron - przedstawił się na wszelki wypadek.

Ciemne oczy Marii zaślniły bursztynem. Zniknęła gdzieś, a po chwili wróciła ze strzykawkami. Dane zdążył w tym czasie ułożyć chorego na stole. Wziął od Marii strzykawkę i powstrzymując drżenie prawej ręki, zrobił zastrzyk.

Potem dokładnie zbadał i osłuchał Roda. Obrzęk i zaczerwienienie zaczęły z wolna ustępować. Zrobił kolejny zastrzyk i poklepał pacjenta po ramieniu.

- No, i jak teraz? Rod skrzywił się lekko.

- Gardło lepiej, tylko strasznie mnie boli po tych użądleniach.

- Zaraz zrobimy kompres - obiecał mu Dane - i zostanie pan u nas do jutra. A może lepiej wezwiemy karetkę z Albuquerque.

Wiedział, że w Albuquerque jest szpital, bo Maria powiedziała mu to przez telefon. Rod przecząco pokręcił głową.

- Nie, wolę zostać tutaj.

Do rozmowy wmieszał się starszy mężczyzna, Wyatt.

- Wszystko z nim w porządku, doktorze?

- Przywiózł go pan w samą porę. Jutro będzie jak nowy - odparł Dane.

Doktor Youngbear, która od pewnej chwili nie spuszczała z niego wzroku, poprosiła go na korytarz. Poszedł za nią jak zaczarowany.

- Widzę, że doskonale wie pan, co robić w nagłych przypadkach - odezwała się surowym głosem - ale na przyszłość wolałabym, żeby się pan skonsultował ze mną. A teraz przepraszam, ale czeka na mnie pacjent. Potem pokażę panu naszą przychodnię.

Patrzył na nią olśniony jej pięknnością i zdumiony naganą brzmącą w jej głosie. Czyżby była niezadowolona z jego błyskawicznej reakcji? Przecież w podobnych sytuacjach liczy się każda sekunda! Jeśli pani doktor sądzi, że będzie ją pytał o pozwolenie na ratowanie ludzkiego życia, to grubo się myli!

Wrócił do Roda i chwilę przy nim posiedział, słuchając opowieści o mieszkańcach miasteczka. Rod i jego starszy kolega Wyatt pracowali w biurze szeryfa.

Głosy dobiegające z korytarza uświadomiły mu, że Maria skończyła przyjmować. Do sali zabiegowej weszła pielęgniarka.

- Zastąpię pana, doktorze - oznajmiła. - Doktor Youngbear czeka na pana.

Marię zastał za biurkiem; pisała coś z pochyloną głową.

- Na maszynie chyba byłoby szybciej - powiedział, żeby jakoś zacząć rozmowę. - Albo podyktować sekretarce.

Uniosła na niego oczy.

- Ja nie mam sekretarki, panie doktorze. Jest tylko rejestratorka, która ma wystarczająco dużo pracy.

Ruchem dłoni wskazała mu sąsiednie biurko.

- Oto pańskie miejsce. Dane nie krył zdumienia.

- Będziemy mieli wspólny gabinet? Maria odchyliła się w krześle i uważnie mu się przyjrzała.

- To nie jest wielkowiejska klinika, tylko przychodnia w małym miasteczku. Jeśli to panu nie odpowiada...

Przez dłuższą chwilę w milczeniu mierzyli się wzrokiem. Mimo oszołomienia jej pięknnością, coś wreszcie zaczynał rozumieć. Maria broni swojego terytorium, dlatego właśnie jest taka zaczepna. Pewnie ma niedobre doświadczenia.

- Gdyby mi nie odpowiadało, nie przyjechałbym tutaj

- wyjaśnił spokojnie. - Potrzebowałem zmiany. Rozumiem, że przed chwilą się pani naraziłem, ale nie zamierzam przeproszać za to, że postąpiłem właściwie.

W pięknych oczach kobiety pojawiło się zdumienie, a potem aprobata. Maria doceniła jego szczerą. Wyciągnęła do niego rękę.

- Witam w Red Bluff - powiedziała z uśmiechem. Podał jej prawą dłoń z nieprzyjemnym uczuciem, że

Maria wyczuje jej sztywność. Podczas rozmowy telefonicznej uprzedził ją, że miał wypadek, a w konsekwencji jego prawa ręka w dalszym ciągu jest niezbyt sprawna, lecz doskonale sobie radzi lewą. Wspomniała wtedy coś o rehabilitacji.

- Jak mówiłem - powtórzył teraz na wszelki wypadek

- moja prawa ręka nie pozwala mi co prawda stanąć za stołem operacyjnym, ale nie będzie przeszkadzać w pracy w poradni rodzinnej.

- Nie myślał pan o fizykoterapii? - zapytała, na chwilę przytrzymując jego rękę, jakby ją badała.

- Nie, została zoperowana i to mi wystarczy - odparł, żeby jak najszybciej zakończyć temat.

Wypadek, w którym stracił żonę i syna, i który raz na zawsze zniszczył jego zawodową karierę, był tematem tabu.

Najwyraźniej nie dla wszystkich.

- Nie zamierza pan wrócić do kardiologii dziecięcej? - pytała dalej Maria.

- Zostałem tutaj zatrudniony jako internista - odparł sucho. - Zamierzam pracować właśnie w tym charakterze.

Kiedy pół roku temu studiowała jego życiorys, zwróciła uwagę na punkt, w którym wyjaśniał, że zamierza pracować w Red Bluff, bo potrzebuje zmiany. Uszanowała jego prywatność i podczas telefonicznej rozmowy nie zapytała o szczegóły. Zresztą na jej ogłoszenie w fachowej prasie odpowiedział tylko jeden młody lekarz, a i on szybko się wycofał, kiedy usłyszał, ile będzie wynosić jego wynagrodzenie. Doktor Cameron natomiast wcale nie interesował się pieniędzmi. Dopiero teraz pojęła, że za potrzebą zmiany musi się kryć coś poważnego.

Spojrzała w błękitne oczy siedzącego naprzeciw mężczyzny i przez chwilę nie mogła oderwać od niego wzroku. Zmusiła się do zerknięcia na zegarek. Zrobiło się późno; musi jechać na ranczo rodziców odebrać małą.

Na szczęście rodzice doskonale rozumieli, że lekarz nie ma ściśle określonych godzin pracy; na szczęście mogła u nich zostawiać Sunny i na szczęście jej dwuletnia córeczka żyła w otoczeniu kochających ją ludzi.

Maria jeszcze raz w duchu podziękowała Bogu za ten cudowny dar, jakim była dla niej Sunny, niezwykła pamiątka po małżeństwie, które się skończyło, zanim jeszcze na dobre się rozpoczęło.

- Oprorowadzę pana szybko po przychodni - powiedziała do Dane'a. - Muszę zaraz odebrać córkę od rodziców, potem jedziemy na przyjęcie w domu doktora Grovera. Chce się z nami uroczyście pożegnać w związku ze swoim przejściem na emeryturę. Pielęgniarka zostanie na noc przy Rodzie. Wezwie mnie w razie potrzeby.

- Ja mogę przy nim zostać - zaproponował Dane. Ciekawe, czy jest taki gorliwy, czy po prostu nie ma co robić w nieznanym mieście? Tak czy owak, pracę oficjalnie zaczyna dopiero od poniedziałku. Powiedziała mu to, ciesząc się w duchu, że będzie miała trochę czasu na oswojenie się z myślą, że przyjdzie jej pracować z tak niezwykle przystojnym kolegą.

- Ile lat ma pani córka? - zapytał nieoczekiwanie. Maria uśmiechnęła się na wspomnienie swojego słoneczka.

- Dwa lata i trzy miesiące - odparła, a widząc, że jej nowy kolega patrzy na jej rękę, dodała: - Jestem rozwiedziona.

Dane przez chwilę milczał.

- Z oglądaniem szpitala możemy poczekać do poniedziałku - oświadczył potem. - Czy mógłbym teraz zobaczyć plan dyżurów?

Przerzucając leżące na biurku papiery, Maria poczuła nagle, że trudno jej będzie spędzać kilka godzin dziennie sam na sam z tym człowiekiem. Dzielenie gabinetu z doktorem Groverem jej nie przeszkadzało, ale w obecności doktora Camerona po prostu się gubiła. Podała mu grafik i szybko cofnęła rękę, jakby się bała sparzyć.

- Doktor Grover wydaje dziś przyjęcie - powiedziała po chwili, żeby przerwać krępującą ciszę - w stołówce szkoły podstawowej. Gdyby miał pan ochotę, proszę przyjść.

Dane oderwał wzrok od kartki i podniósł głowę.

- Bardzo dziękuję, ale nie skorzystam. Nie jestem zbyt towarzyski.

- Po prostu myślałam - brnęła dalej Maria - że to doskonała okazja, żeby poznać pacjentów. Red Bluff to mała miejscowość i wszyscy się tu znają.

- Sądzi pani, że byłoby to dobre posunięcie taktyczne - stwierdził raczej niż zapytał Dane.

- Sądzę, że to by panu pozwoliło na zdobycie zaufania ludzi, z którymi przyjdzie panu pracować.

Dane zamyślił się.

- Gdyby się pan zdecydował, przyjęcie zaczyna się o ósmej, a do szkoły na pewno pan trafi. Gdzie się pan zatrzymał?

- W motelu Sagerbrush. Szukam mieszkania, może o czymś pani słyszała?

Mieszkała w osiedlu niedaleko przychodni, ale wołała mu nie mówić, że obok niej jest wolny lokal przeznaczony na wynajem.

- Rozejrzę się za czymś - mruknęła ogólnikowo.

- Byłbym wdzięczny.

Wzrok Dane'a padł na fotografię stojącą na jej biurku.

- To pani córka? - zapytał.

- Tak, to Sunny.

- Prześliczna.

Maria uśmiechnęła się z dumą.

- Jest moim słońcem i słodyczą, nie wiem, co była bez niej zrobiła - wyznała wzruszonym głosem.

Twarz Dane'a nagle stężała i pociemniała; wyglądał teraz na więcej niż swoje czterdzieści lat.

- Na mnie pora - oznajmił, wstając z krzesła. - Widzimy się w poniedziałek o ósmej. Przychodnia będzie otwarta?

- Tak. - Maria skinęła głową. - Rejestratorka przychodzi o ósmej, a o dziewiątej zaczynam dyżur.

Dane odwrócił się i opuścił pokój, zostawiając Marię w przekonaniu, że odtąd jej życie znacznie się skomplikuje. Chyba że na to nie pozwoli.

O ósmej trzydzięci Dane wkroczył do szkolnej stołówki. Decyzję podjął w ostatnim momencie. Skoro zamierza być tutejszym lekarzem, musi utrzymywać kontakty z miejscowymi ludźmi. Szukając wzrokiem Marii, wmawiał sobie, że przyszedł tutaj jedynie z poczucia obowiązku.

Zaraz też zdał sobie sprawę z faktu, że jest nieco zanadto wystrojony. Jego granatowe spodnie i biała oksfordzka koszula niezbyt pasowały do swobodnego stroju reszty gości. Szorty były tu na porządku dziennym, a śmiechy i żarty krzyżowały się nad stołami udekorowanymi kolorowymi balonikami. Na ścianie wielki plakat głosił: „Przyjemnej podróży, doktorze Grover”.

Dane poczuł się dziwnie. W Nowym Jorku też chodził na przyjęcia, ale nigdy nie spotykał tam pacjentów. Były to zwykle bardzo wytworne spotkania, a on miał przy boku Ellen.

Ruszając w stronę najbliższego stołu, nagle spostrzegł rozpuszczone, cudowne włosy Marii. W tej fryzurze i lekkiej kwiecistej sukni wyglądała jak zjawisko. Pomalowane na czerwono paznokcie jej stóp w lekkich sandałkach miały w sobie coś nieodparcie kobiecego. Cała jej postać wibrowała życiem i energią. Czyżby to go właśnie w niej tak bardzo pociągało? Jego, z którego uszło życie?

Odwróciła się i ich oczy się spotkały. Maria znieruchomiała i dopiero dziecko, które do niej podbiegło i schwyciło ją pod kolana, sprowadziło ją na ziemię. Podniosła dziecko z uśmiechem i ruszyła w stronę przybysza.

On też tak kiedyś nosił w ramionach swojego synka... Pamiętał wszystko, pamiętał bardzo wiele rzeczy, o których powinien zapomnieć.

Nie mógł oderwać oczu od tego dziecka. Prześliczna dziewczynka trzymała w rączkach pluszowego misia.

- Jednak pan przyszedł - szepnęła Maria.

- Wolałem to, niż oglądać w motelu telewizję. Maria się uśmiechnęła, a dziewczynka, ułożywszy główkę na jej ramieniu, wsunęła paluszek do buzi.

- Jak ma na imię? - zapytał Dane.

- Sunny.

Już miał zapytać, skąd takie dziwne imię, kiedy podeszła do nich starsza kobieta.

- To jest ten twój nowy lekarz, Mario? Maria dokonała prezentacji.

- Doktor Cameron, moja matka, Carmella Eagle. Kiedy podawali sobie ręce, przyłączył się do nich starszy pan i nastolatek.

- A to mój ojciec, Tom, i brat, Joe.

Chłopiec zmierzył Dane'a nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Miło mi pana poznać - powiedział Tom. - Maria mówiła, że ma pan znakomitą opinię, a rada miejska jednogłośnie przyjęła pańską kandydaturę.

- Nasza poradnia utrzymuje się dzięki prywatnym dotacjom, dlatego rada miejska ma decydujący głos w sprawach zatrudnienia - wyjaśniła Maria.

Patrzył na nią oczarowany.

- Muszę się jeszcze wiele nauczyć o tutejszych stosunkach.

- Życie w takim małym miasteczku nie zawsze bywa łatwe - niechętnie rzucił Joe.

Dlaczego on go tak nie lubi? Przecież wcale się nie znają. A może po prostu wyczuwa jego fascynację siostrą?

- Nigdy dotąd nie mieszkalem w małym mieście - rzekł swobodnie Dane. - To dla mnie zupełnie nowe doświadczenie.

Matka Marii poklepała go po ramieniu.

- Musimy się kiedyś spotkać. Zaproszę pana do nas na kolację, a teraz już idziemy. Tom z naszym najstarszym synem jutro z samego rana jadą do Santa Fe obejrzeć konie.

Serdecznie ucałowała wnuczkę i córkę.

- Do zobaczenia w niedzielę, słoneczko. Mario, nie zapomnij, że Teresa robi deser, a Rita przyniesie chleb.

- A ja przygotowuję sałatki. - Maria na pożegnanie pocałowała matkę w policzek.

- Dużą masz rodzinę? - zapytał Dane, gdy zostali sami.

- Trzech braci i dwie siostry - odparła. - W każdą niedzielę wszyscy się spotykamy. Dzieciaki wtedy nieźle rozrabiają.

Mimo gwaru panującego wokół, miał wrażenie, że stoją sami na bezludnej wyspie, tak jakby odgłosy świata zewnętrznego były tylko fikcją. Nigdy jeszcze uroda żadnej kobiety nie działała na niego w taki sposób.

- Jak długo tu pracujesz? - zapytał, chcąc się dowiedzieć, ile ma lat, bo jej uroda miała w sobie coś ponadczasowego.

- Cztery lata - odparła. - To moja pierwsza posada po studiach i praktyce.

- Myślałaś kiedyś, żeby się przenieść? - Naprawdę go to ciekawiło; z trudnością wyobrażał sobie Marię w innym miejscu.

- Kiedyś... kiedyś miałam taki zamiar, jeszcze przed urodzeniem Sunny, ale zrezygnowałam. Tutaj mam rodzinę, tutaj są moje korzenie, a to wiele dla mnie znaczy.

Wyraźnie miało to związek z jej nieudanym małżeństwem, ale to nie jego sprawa.

Spojrzał na przymknięte oczy dziecka.

- Chyba już pora spać. Maria uśmiechnęła się.

- Musimy wracać do domu, ale przedtem przedstawię pana doktorowi Groverowi. Pojutrze wyjeżdża na wycieczkę i wraca dopiero za dwa miesiące. Już kiedyś wybierał się na

emeryturę, ale mu się nie udało i teraz mówi, że tym razem nic mu nie przeszkodzi.

W ciągu następnej pół godziny Dane poznał nie tylko doktora Grovera i jego żonę, ale również wielu mieszkańców miasteczka. Czuł się zupełnie jak złota rybka wyciągnięta z wody i rzucona na brzeg.

W końcu Maria zaczęła się żegnać, mówiąc, że musi jeszcze po drodze zajrzeć do Roda.

- Odprowadzę panią - zaproponował Dane.

- Proszę zostać i jeszcze trochę sobie porozmawiać. Leciutko się skrzywił.

- Już się narozmawiałem za wszystkie czasy.

Kiedy opuszczali salę, przyszło mu do głowy, że jeszcze nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji. Zwykle leczył ludzi nieznajomych, z którymi kontakt urywał się po zakończeniu kuracji. Tutaj wszyscy się znali i rola lekarza rodzinnego trwała przez całe życie. To może być nawet dobre, pomyślał.

Na zewnątrz zaskoczył go chłód. Skierował się na parking, ale Maria go powstrzymała.

- Pójdę pieszo. Do zobaczenia w poniedziałek.

- Nie pozwolę pani chodzić samej po nocy - oświadczył stanowczo.

Maria cichutko się roześmiała.

- To nie Nowy Jork, tylko Red Bluff, panie doktorze. Mamy wspaniałego szeryfa. Jego zastępcę, Wyatta, poznał pan dziś w przychodni.

- Mimo to odwiozę panią do przychodni, a potem do domu.

- To naprawdę przesada.

W jej oczach dostrzegł coś, co mówiło, że jego fascynacja może być odwzajemniona. Zupełnie jakby oboje przyciągali się z niezwykłą siłą. Nigdy tego nie zaznał. Z Ellen łączyła go przyjaźń, zadowolenie i wygoda.

Nie zamierzał teraz tego analizować. Myśl o żonie zaraz sprowadzi inne myśli i szaleństwo wspomnień rozpocznie się od nowa. Przecież dopiero od tygodnia przestał mieć koszmarne sny.

- Mała musi być ciężka, a do tego przy tym chłodzie jeszcze się przeziębii - oświadczył i Maria ustąpiła.

- W takim razie... jeśli panu to nie przeszkodzi...

- W niczym mi nie przeszkodzi.

Za wszelką cenę chciał z nią spędzić jeszcze jakiś czas i to nie tylko dlatego, żeby nie wracać do pustej klitki w motelu. Otworzył przed Marią drzwi białego samochodu, noszącego wyraźne ślady przebytej dalekiej drogi.

Maria wsiadła, ostrożnie podtrzymując główkę córeczki. Nie powinna siedzieć na miejscu pasażera z dzieckiem w ramionach, Sunny powinna mieć specjalny fotelik... Dobrze o tym wiedział. Wiedział również, że to nie zawsze wystarczy...

Po chwili podjeżdżali już pod przychodnię. Pielęgniarka natychmiast zaopiekowała się dziewczynką, a Maria poszła do salki, w której w razie konieczności zatrzymywano pacjentów. Od Roda właśnie wyszła żona.

Dane rozejrzał się po ośrodku. Pomieszczenia były małe, ale wygodnie i funkcjonalnie urządzone.

W pół godziny później Maria przejęła córeczkę od pielęgniarki i zaniósła do samochodu Dane'a. Po kilku minutach znaleźli się pod domem, w którym mieszkała.

Dane zaparkował, wysiadł i otworzył drzwi od strony pasażera. Wyciągnął ręce po dziecko.

- Wezmę ją, tak będzie wygodniej.

Na szczęście panowała ciemność, na szczęście nie widział twarzy dziecka, na szczęście zdołał się opanować i jakby nigdy nic ponieść słodki ciężar w stronę wejścia.

Kiedy poczuł na ramieniu małą główkę, powstrzymał oddech, myśląc, że zemdleje albo zacznie krzyczeć. Zapach dziecka przyprawiał go o szaleństwo, ból rozrywał serce.

Przyjechał do Red Bluff, szukając zapomnienia, i sam nie rozumiał dlaczego zaproponował Marii, że poniesie dziecko.

Na budynku duży napis głosił: „Mieszkania do wynajęcia”.

- Są tu jeszcze wolne lokale? - zapytał, próbując mówić normalnym głosem.

- Tak - przyznała Maria z ociąganiem. - Obok mnie jest wolne mieszkanie. Nic panu nie mówiłam, bo nie wiem, jaka cena panu odpowiada.

- Chodzi mi o coś wygodnego, gdzie by się dało spędzić noc - powiedział obojętnie i zabrzmiało to zupełnie wiarygodnie.

Maria sięgnęła po klucze.

- Może pan popatrzeć, jak to wygląda, i potem skontaktować się z właścicielką domu. Wszystkie lokale są bardzo podobne.

- Chętnie - zgodził się szybko.

Weszli do mieszkania i Maria zapaliła światła.

- Gdzie mam ją położyć? - zapytał Dane, ruchem głowy wskazując dziecko.

Wyjęła mu córeczkę z ramion, muskając go przy tym.

- Zaniosę ją do łóżeczka.

Poszła w kierunku sypialni; Dane nie spuszczał z niej wzroku. Nadal czuł muśnięcie jej palców, zupełnie jakby się odcisnęło na jego ciele rozpalonym żelazem.

Maria przebrała córeczkę w piżamkę i ucałowawszy, położyła do białego łóżeczka. Cały ten rytuał, nastrój ciepła i czułości, zapach sypialni i pokoju dziecinnego kompletnie wyprowadził go z równowagi. Cofnął się do salonu i zebrał wszystkie siły. Musi się opanować...

- Napije się pan czegoś? - Głos Marii wyrwał go z odrętwienia.

Chętnie napiłby się whisky, ale wiedział, że musi zachować trzeźwość i chłód. Ucieczki w alkoholu szukał tylko przez bardzo krótki czas. Potem, zdawszy sobie sprawę, że to droga donikąd, przestał pić.

- Nie, dziękuję - odparł i powiódł wzrokiem po pokoju. - Wszystkie mieszkania są takie same?

- Na ogół tak. Jest jeszcze wspólny taras. Niektóre mieszkania mają trzy sypialnie zamiast dwóch, ale rozkład jest bardzo podobny.

Cudowne włosy Marii łagodną falą opadały na ramiona. Ciemne oczy błyszczały jak czarne gwiazdy. Zapragnął ją pocałować i natychmiast skierował się ku wyjściu.

- Chyba już pójdę. Dziękuję za pokazanie mieszkania, jutro zadzwonię do właścicielki.

Już w progu usłyszał zmysłowy głos Marii.

- Dziękujemy za podwiezienie, panie doktorze. Zatrzymał się, odwrócił, spojrzał na nią.

- Proszę mi mówić po imieniu, pani doktor. Uśmiechnęła się.

- Maria - powiedziała - mam na imię Maria..., Dane. Dobrze wypocznij w czasie weekendu, bo w poniedziałek będziemy mieli dużo pacjentów.

- Bardzo bym już chciał wrócić do pracy - westchnął ciężko.

W jej oczach ujrzał pytanie, na które nie chciał odpowiedzieć. Nie miał ochoty i było jeszcze za wcześnie. Zanim myśl o pocałunku powróciła ze zdwojoną siłą, szybko przekroczył próg.

- Do widzenia, Mario.

ROZDZIAŁ DRUGI

Z torbą zakupów w ręku i Sunny w objęciach Maria weszła do chłodnego holu i skierowała się do swojego mieszkania. W chwilę potem otworzyły się sąsiednie drzwi.

Stał w nich mężczyzna, o którym myślała przez całą noc.

- Od dziś jesteśmy sąsiadami. - Dane z uśmiechem pokazał jej klucze.

Niezgrabnie sięgnęła po swoje. Nowy sąsiad natychmiast znalazł się przy niej i wyjął jej z ręki ciężką torbę.

- Pomogę ci.

- Ja... sama...

Dotyk jego ręki sprawił, że poczuła się jak nastolatka.

- Nie lubisz, gdy ci ktoś pomaga? - W błękitnych oczach Dane'a dostrzegła iskierki radości.

- To zależy - odparła wymijająco. Denerwowało ją, że ten człowiek wywiera na nią taki wpływ. Niepokojący. Wyrzebała wreszcie klucz z kieszonki białych szortów i włożyła go do zamka. Otworzyła drzwi, a Sunny natychmiast wyśliznęła się z jej ramion i wbiegła do mieszkania.

- Wniosę ci zakupy - postanowił Dane. Dziewczynka usiadła na kanapie wśród zabawek. Spojrzał na nią i przeniósł wzrok na matkę.

- Dlaczego dałaś jej na imię Sunny?

- Bo to ma związek ze słońcem, a ona rozświetla moje życie - odparła Maria i nie dodała, że w czasie, gdy rodziła się Sunny, w jej życiu panował głęboki mrok.

Zapadła cisza. W oczach Dane'a ukazała się pustka i Maria poczuła, że tym razem musi zapytać o to, o co chciała zapytać poprzedniego dnia, ale nie śmiała tego uczynić.

- Byłeś żonaty?

- Jestem wdowcem - odparł krótko.

Postawił torbę z zakupami na stole i zapatrzył się przed siebie. Potem odezwał się obojętnym głosem:

- Chyba będę musiał kupić coś na taras, jakieś meble... -
Dłonią wskazał oszklone drzwi wiodące na wspólny taras. - W Nowym Jorku tego nie potrzebowałem.

Zrozumiała, że temat jego małżeństwa został wyczerpany. Chętnie podjęła wątek mebli.

- Kupiłeś już jakieś sprzęty? Pokręcił przecząco głową.

- Nie, wołałem na razie tak tylko spróbować... Potem coś sobie znajdę. A znasz jakiś dobry sklep?

Najwidoczniej nie traktował swojego pobytu w Red Bluff poważnie. Nie przyjechał tu na stałe, tylko na jakiś czas. Dlatego zadowolili się prowizorką.

- Jest kilka sklepów... - zaczęła z wahaniem. - Dziś po południu wybieram się do Albuquerque, tam jest większy wybór. Mogę ci pokazać - dokończyła, domyślając się, jak musi się czuć człowiek w obcym mieście, nie znający realiów.

Przeniósł wzrok na jej usta; serce Marii zabiło tak mocno, jakby już ją całował.

Sunny zeskoczyła z kanapy i przypadła do jej gołych nóg.

- Mamo, pić!

Chwyciła córeczkę w ramiona i mocno przytuliła, osłaniając się nią jak tarczą przed tym mężczyzną, który nie chciał zostać w Red Bluff na zawsze.

- Chcesz soczek pomarańczowy?

- Tak.

Dane popatrzył na dziecko jakoś dziwnie, jakby jego obecność sprawiała mu przykrość.

- Z kim ją zostawisz, jak pojedziemy do Albuquerque? Co za pytanie!

- Wezmę ją. Przez cały tydzień widzimy się tak mało, że w weekend chcę ją mieć przy sobie.

- Rozumiem - powiedział głuchym głosem, ale tak szczerze, że mu uwierzyła. - Chyba jednak pojedę sam, nie chciałbym ci sprawiać kłopotu.

Nic więcej nie dodał, ale Maria i bez tego zrozumiała, że Dane nie chce z nią jechać z powodu Sunny. Zupełnie jakby jej córeczka mu przeszkadzała.

Postanowiła to wyjaśnić. Nigdy nie owijała niczego w bawełnę, a musiała się dowiedzieć, na czym polega jego problem z dziećmi. Postawiła dziewczynkę na podłodze i pogłaskała po główce.

- Idź i zapytaj swoją lalkę, czy też chce się czegoś napić, a ja zaraz przygotuję wam soczek.

Mała ze śmiechem pobiegła w stronę kanapy. Maria uniosła oczy na Dane'a.

- Co ci przeszkadza w mojej córce? Skoro jesteś dziecięcym kardiologiem, musisz chyba lubić dzieci.

W jego twarzy zadrgał mięsień.

- Nie zamierzam o tym mówić. - Jego głos zabrzmiał sucho i nieustępliwie.

Ona jednak nie miała zamiaru się poddawać.

- Chyba jednak powinniśmy o tym porozmawiać. W poradni spotkasz niejedno dziecko.

- To w żaden sposób nie wpłynie na stosunek do moich małych pacjentów - wyjaśnił spokojnie i stanowczo.

Dokoła niego wyrósł teraz mur, którego nie mogła przekroczyć. Mogła tylko walić w niego pięściami i ścierać je sobie do krwi.

- Dane, mamy razem pracować... - spróbowała jeszcze raz nawiązać do tematu.

- Właśnie. A to nie daje ci najmniejszego prawa do wkraczania w moje prywatne życie.

Poczuła ból odrzucenia.

- W porządku. Zapamiętam to sobie.

Sunny znowu podbiegła do niej i zadarła do góry śliczną buzię.

- Lala chce pić!

Dane obrzucił ją wzrokiem i zrobił krok ku wyjściu.

- Podczas weekendu obejrzę sobie miasto - dodał. Nie mogła pozwolić, żeby tak po prostu wyszedł.

- Jutro będzie tutaj straszny tłok - powiedziała, żeby coś powiedzieć.

- Dlaczego?

- Doroczne święto chili - wyjaśniła. - Będzie jarmark z ludowymi wyrobami, meksykańskimi potrawami i tak dalej. Zjadą się tłumy turystów.

Dane skinął głową.

- Chętnie to zobaczę.

Przyszło jej do głowy, że Dane pewnie wyjedzie z miasteczka o świcie i wróci pod wieczór, jak już będzie po wszystkim, ale postanowiła udać, że mu wierzy.

- Kiedy zamierzasz się wprowadzić? - zapytała na pożegnanie.

- Jeszcze nie wiem. Powiem ci w poniedziałek rano.

Zamknęła za nim drzwi i zamyśliła się. Dane zupełnie nie przypominał jej byłego męża, Tony'ego.

Tony również był lekarzem. Razem studiowali i przyłgnęli do siebie pewnie z powodu wspólnego indiańskiego pochodzenia. Tony też był Czejenem. Wiele ich łączyło i rodzice chętnie zgodzili się na ich zaręczyny. Tony jednak nigdy nie mógł zrozumieć głębokiego przywiązania Marii do rodziny i rodzinnej ziemi. Zaczęli pracować, ale po roku Tony zapragnął zmiany.

Podpisał kontrakt ze szpitalem w Afryce i zaproponował żonie, żeby z nim pojechała. Długo nad tym dyskutowali, często się kłócili i w końcu Tony pojechał sam.

Po pewnym czasie zrozumiała, jak bardzo go kocha, i ruszyła za nim ratować swoje małżeństwo. Ucieszył się i nie od razu powiedział, że ma już kogoś innego. Wyjechała z

Afryki zrozpaczona i dwa tygodnie po powrocie do domu zorientowała się, że zaszła w ciążę.

Tony nie chciał tego dziecka, a ona nie chciała przerwać ciąży. A teraz jej córka przeszkadza Dane'owi...

Trudno, nic jej to nie obchodzi. Są tylko kolegami z pracy i wcale nie jest ciekawa jego sekretów.

O sobie też nic mu nie powie.

Niebo było błękitne i bezchmurne. Pejzaż w niczym nie przypominał krajobrazów północy. Wspomnienia ucichły, tak jakby Dane, zanurzony w nowym otoczeniu, dostawał szansę powrotu do życia. Po raz pierwszy od dłuższego czasu patrzył w przyszłość jeśli nie z nadzieją, to z namiastką spokoju.

Przez otwarte okno samochodu napłynęło suche, pachnące powietrze. Dawno już nie jechał przed siebie tak bez celu. Zawsze miał w życiu ściśle wyznaczony cel. Jego rodzice rozeszli się, kiedy miał sześć lat, i od dzieciństwa musiał bardzo się starać, by ich zadowolić. Po wypadku bardzo mu pomogli, ale naprawdę pomóc mógł sobie tylko sam.

Kiedy do niego dotarło, że już nigdy nie stanie za stołem operacyjnym, wpadł w depresję. Przez cały rok pracował jako konsultant i udawał, że pogodził się z losem. Potem znalazł ogłoszenie z Red Bluff i natychmiast się zgłosił. Wolał być lekarzem w małej przychodni niż figurantem w wielkim szpitalu. Teraz znalazł się na pustyni, wśród kaktusów i suchych krzewów, i zaczynał wierzyć, że może czeka go jakaś przyszłość.

Do miasteczka wrócił po południu. Święto chili trwało w najlepsze. Nie zajechał wprost do swojego motelu, tylko zaparkował niedaleko placu. Główna ulica zastawiona była straganami. Z placyku dobiegał dźwięk gitary, skrzypiec i bębna. Zatrzymał się przy witrynie z wyrobami ceramicznymi i usłyszał, jak jedna z oglądających dzbany i misy kobiet mówi do drugiej:

- Maria robi coraz lepsze rzeczy. Kupię jeszcze coś, mam w domu już kilka jej prac.

Drgnął na dźwięk znajomego imienia, ale zaraz siebie upomniał, że przecież w Red Bluff mieszka niejedna Maria.

Wtedy właśnie ją zobaczył. Stała po drugiej stronie lady i wydawała klientce resztę. W jej ruchach, w jej spojrzeniu, w całej jej osobie było tyle życia i energii, że wszystko wokół niego zawirowało.

Musiała go zauważyć, ale nie dała tego po sobie poznać, gorliwie zajmując się kolejną klientką. Kobieta kupiła gliniany wazon i dopiero wtedy Maria podeszła do Dane'a.

- Czym mogę służyć? - zapytała.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, bo nie wyczuwał, do jakiego stopnia naraził się jej wczoraj wieczorem. Cóż mógł poradzić na to, że nadal czuł się jak stłuczone lustro, którego kawałki boleśnie ranią każdego, kto się znajdzie w pobliżu?

Przez chwilę bez słowa obracał w dłoniach zielononiebieski talerz. Z tyłu dostrzegł inicjały MY.

- Sama to zrobiłaś? - Powiódł dłonią po wyrobach zalegających półki.

- Tak - odparła uprzejmie. - Ceramika to moje hobby.

- Gdzie to robisz?

- Mam pracownię u rodziców na ranczu.

- I dostarczasz swoje rzeczy do sklepów?

- Tak, do sklepów w Red Bluff i w Albuquerque. Właśnie wczoraj tam jechałam.

Zrozumiał, że wspomina o celu swojej podróży, żeby jakoś delikatnie nawiązać do przerwanej rozmowy z poprzedniego dnia. Wzruszyło go to. Maria ma taki szczery i ujmujący sposób bycia... Nie był do tego przyzwyczajony.

Zapadło milczenie, które przerwała rudowłosa kobieta około czterdziestki.

- Witaj, kochanie - odezwała się do Marii. - A któż to jest ten przystojny nieznajomy? - dodała, znacząco spoglądając na Dane'a.

Maria zaczerwieniła się i przedstawiła go Clarze Harrihan, urzędniczce z biura szeryfa.

- Słyszałam, że w piątek uratował pan życie Rodowi Coolridge'owi. Całe miasto o tym mówi - wywodziła Clara. - Przyszłam tutaj, bo właśnie pomagam szwagrowi w sklepie, i zaraz się o wszystkim dowiedziałam.

Maria lekko westchnęła.

- U nas plotki szybko się rozchodzą. Clara zachichotała.

- To wielka wygoda, człowiek nie potrzebuje telefonu. Ludzie od razu wszystko wiedzą. Pamiętam, że kiedy poleciałś do Tony'ego do Afryki, zaraz zaczęli się zakładać trzy do jednego, że wrócisz po tygodniu. I wróciłaś.

Rumieniec na twarzy Marii przybrał barwę purpury.

- Najlepszy dowód, że ludzie wcześniej niż ja wiedzieli, że moje małżeństwo się rozpadło.

Clara przeniosła wzrok na Dane'a.

- Próbował pan już naszego chili?

- Właśnie miałem zamiar. Miło było panią poznać.

- Mnie również. Mam nadzieję, że spotkam pana, kiedy zjawię się kiedyś w poradni. Mojemu mężowi nie zaszkodzi, jak się dowie, że lecę się u takiego przystojniaka. A teraz do widzenia.

Odpłynęła i dopiero wtedy Maria wybuchnęła śmiechem.

- Mogę się założyć, że trzy czwarte naszych pacjentek będzie tego samego zdania.

- Przecież ona tylko żartowała. - Wzruszył ramionami.

- Nic podobnego - zaprzeczyła Maria. - Mąż Clary, Virgil Harrihan, jest zastępcą szeryfa i nie należy do najbardziej romantycznych małżonków.

- Trudno - orzekł z rezygnacją Dane. - W takim razie, jeśli pani Harrihan zechce się u nas zbadać, zrobimy to oboje.

Maria uśmiechnęła się i napięcie między nimi zelżało.

- Jadłaś już? - zapytał. Pokręciła przecząco głową.

- Nie miałam szansy.

- Może w takim razie pójdziemy coś zjeść? Maria spojrzała na zegarek.

- Za pół godziny mam odebrać Sunny.

- Gdzie ona jest?

- W szkole z Joe. Starsi uczniowie zajmują się dziećmi, których rodzice pracują tutaj, na kiermaszu.

- No to idziemy.

Szła obok niego szybkim krokiem. Spódnica ściśle przylegała do jej smukłych ud, a włosy falujące na jej plecach kusily Dane'a. Na wszelki wypadek schował ręce do kieszeni.

Maria przystanęła przy jednym ze straganów.

- Ernesto ma najlepsze chili i co roku zajmuje pierwsze miejsce w konkursie na potrawy regionalne. Prowadzi restaurację. Nazywa się Cantina, może już ją widziałeś?

Dane skinął głową.

- Wczoraj jadłem tam kolację. Niestety zamówiłem stek, zamiast czegoś bardziej egzotycznego.

- Trzeba nad tobą popracować - zażartowała. Niczego więcej nie pragnął. Natychmiast poczuł wyrzuty sumienia wobec nieżyjącej żony.

Po chwili jedli już chili, a po sekundzie Dane pobiegł po butelkę wody, żeby ugasić żar.

- Ostre - wykrztusił, wypiwszy połowę zawartości. - Naprawdę ostre...

Maria siłą powstrzymała się od śmiechu.

- To wcale nie było najmocniejsze. Specjalnie wybrałam łagodne.

Dane dumnie wypiął pierś.

- Udowodnię ci, jaki ze mnie twardziel, i zjem wszystko do końca, ale potem... potem pójdziemy na lody!

Chwilę później z waflami pełnymi cytrynowego przysmaku przysiedli na ławeczce z boku. Z placu dobiegała muzyka, kilka par kręciło się na deskach parkietu; zaczęło zachodzić słońce i błękit nieba z wolna przemieniał się w czerwień. Maria lekko się odsunęła, jakby w obawie przed dotykem Dane'a.

- Od jak dawna jesteś rozwiedziona? - zapytał. Sięgnęła plastikową łyżeczką do rożka i oblizwała ją.

- Rozeszliśmy się przed narodzinami Sunny. Ukrył zdziwienie.

- Twój mąż wiedział, że jesteś w ciąży? - zapytał. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

- On nie chciał tego dziecka - odparła zdławionym głosem.

- Musiał być idiotą.

Spojrzała na niego i szybko odwróciła wzrok.

- Ja też jestem odpowiedzialna za rozpad naszego małżeństwa - powiedziała cicho. - Potem chciałam wszystko naprawić, ale on... wyjechał.

Dane milczał, wiedząc, że o nic nie musi pytać.

- Potem nagle na wszystko było już za późno - ciągnęła Maria. - Był lekarzem... nie wiem, jak lekarz może... namawiać kogoś do aborcji. Ale skoro mógł pomyśleć, że zgodzę się przerwać ciążę, to znaczy, że w ogóle mnie nie znał.

W jej oczach dostrzegł żal i determinację.

- Jesteś osobą - zaczął powoli - która nikogo nie potrafi skrzywdzić. Ty możesz tylko pomagać i koić.

Jej oczy wypełniła wdzięczność.

- Chyba mnie przeceniasz - szepnęła.

Dwie ostatnie noce spędził śniąc o niej i marząc. Teraz, kiedy była tak blisko, ledwo się ośmielił odsunąć z jej policzka niesforny kosmyk włosów.

Spojrzała na niego, jakby go chciała zapytać, czy wie, co robi i do czego to może prowadzić. Nie wiedział, ale jej włosy miały delikatność jedwabiu, a policzek był gładki jak atlas.

- Jest w tobie ogień, Mario - szepnęła. - Nigdy nie spotkałem takiej kobiety.

- To tylko wyobraźnia - odparła bardzo cicho. - I za dużo... chili.

Gdy przysunął się do niej, odsunęła głowę.

- Ludzie zaczną gadać...

Przypomniał sobie, co mówiła Clara Harrihan o szybkości rozchodzenia się plotek w Red Bluff. W powietrzu nagle zrobiło się duszno od zapachu frytek i tacos.

- Co mogą powiedzieć? - zapytał.

- Ze zbyt długo nie miałam mężczyzny, że wzięłaś sobie pierwszą, jaka ci się napatoczyła, i że daję zły przykład córce - odparła jednym tchem.

Nie zrobiła żadnego ruchu i zrozumiał, że tajemniczy fluid działa w obie strony i przyciąga ją ku niemu. Nie mógł jednak udawać, że nie rozumie jej słów. Zbyt wiele nieszczęść już spowodował i nie zamierzał unieszczęśliwiać i tej kobiety.

Poczuł spływające mu po dłoni lody i przymknąwszy oczy, skupił się nad lepką słodyczą, próbując w zarodku zdusić ogień, który Maria rozpałała w nim samą swoją obecnością. Muzyka na chwilę ucichła i obok ławki wyrósł Wyatt Baumgardner. Tym razem nie miał na sobie munduru zastępcy szeryfa, tylko dżinsy, koszulkę i kapelusz.

- Witam, doktorze - powiedział. - Rod jest tu gdzieś w pobliżu, chciałby panu jeszcze raz podziękować. Uratował mu pan życie.

- Taką mam pracę - swobodnie oświadczył Dane. Wyatt skłonił się przed Marią.

- Zatańczysz ze mną?

Zapadła noc i parkiet rozświetliły kolorowe światła. Wokół panował nastrój karnawału i szaleństwa. Dane uświadomił sobie, że Maria i Wyatt są prawie w tym samym wieku. Ciekawe, czy kiedyś ze sobą chodzili...

Maria spojrzała na niego pytająco, jakby czekała, że coś powie, zabroni jej albo sam zaprosi ją do tańca, ale Dane milczał.

Maria to było samo życie i witalność, a on był jak wypalony pień. Pamiętał, jak tańczył z Ellen, pamiętał ich wspólne życie i to, jak bardzo boli, kiedy nie można nic zrobić dla najbliższej osoby. Nigdy więcej nie chciał już przeżywać takiej udręki.

- Tańczcie sobie, tańczcie...

Maria wstała i spojrzała na niego z wyrzutem.

- Idziemy, Wyatt, bardzo chętnie zatańczę.

Ujęła go pod ramię i odeszli w tęczowym świetle lampionów.

Tańczyła jak automat, od czasu do czasu znad ramienia Wyatta spoglądając ku ławce, którą opuściła. Dane patrzył w ich kierunku, ale nie miała pojęcia, o czym myśli. Przed chwilą chciał ją pocałować...

Pozwoliłaby mu na to, mimo tego całego tłumu.

Przypomniała sobie słowa matki: „On jest białym Amerykaninem, pamiętaj”.

I głos ojca: „Musisz myśleć przede wszystkim o Sunny”.

I szept w głębi własnej duszy: „Nie popełniaj szaleństwa. Nie daj się znowu zranić. Nie wdawaj się w coś, co może się okazać dla ciebie wielkim niebezpieczeństwem”. Myślała o tym wszystkim, tańcząc z Wyattem, którego dotyk nie wywierał na niej żadnego wrażenia i pozostawiał ją zimną i

daleką. Tańczyła, wspominając to, co działo się z nią, kiedy Dane muskał jej dłoń i spoglądał na nią błękitnymi, smutnymi oczami. Co takiego w nim jest? Co ją w nim tak intryguje?

Wyatt obrócił ją w tańcu, zawirowała, a kiedy znowu zwróciła się twarzą ku ławce, nikogo już na niej nie było.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dane stał w gabinecie i przeglądał kartę pacjenta. Nie przestawała zdumiewać go łatwość, z jaką przyzwyczał się do nowego miejsca pracy. Mijał dopiero czwarty dzień, a on czuł się tak, jakby był tu od zawsze. Spojrzał na Virgila Harrihana. Niedawno Maria przepisała mu lek na zgagę.

- Ale to nic nie pomaga, panie doktorze - żalił się pacjent.

Zastępca szeryfa i mąż Clary wyglądał na zwolennika środków skutecznych i szybko działających.

- Leczy się pan dopiero od dwóch dni - przypomniał mu Dane.

- Ja wszystko rozumiem - odrzekł pokornie Virgil - i do tego pojadłem sobie chili na naszym festynie, ale czuję się jakoś dziwnie.

- Mówił pan o tym doktor Youngbear?

- Powiedziałem jej tylko, że to się zaczęło po zjedzeniu chili. Nie chciałem znowu słuchać tej piosenki o zrzucaniu wagi i tak dalej. Zaleciła mi to w zeszłym roku i o mało nie umarłem od tego higienicznego trybu życia.

Dane powstrzymał się od uśmiechu.

- Niestety, odpowiednia dieta to podstawowy warunek dobrego zdrowia - oświadczył mentorskim tonem.

Virgil wzruszył ramionami.

- Ale po co komu dobre zdrowie, jak sobie nie może użyć - skomentował melancholijnie.

Dane zbadał go, lecz nie stwierdził nic szczególnego. Znowu zajrzał do karty.

- Pański ojciec, jak widzę, zmarł na zawał serca...

- Tak, miał tylko pięćdziesiąt osiem lat. Umarł za kierownicą.

Dane przerzucił papiery.

- Dawno nie robił pan żadnych badań - zauważył. Virgil pokręcił się na krześle.

- Clara mi mówiła, że przyjechał pan z Nowego Jorku - zagadnął towarzyskim tonem.

- A dokładnie z Connecticut - potwierdził Dane.

- Skończył pan pewnie jakąś bardzo ekskluzywną uczelnię - ciągnął Virgil.

Dane uśmiechnął się sprytnie.

- Nie wiem, czy ekskluzywną, ale na pewno dobrą. Virgil zamrugnął powiekami.

- To dlaczego pan tutaj przyjechał? - zapytał wprost. Dane odłożył kartę.

- Potrzebowałem zmiany - odparł krótko. Wzrok Virgila zatrzymał się na prawej ręce lekarza.

- Ma pan coś z ręką, od razu widać... To z tego powodu? Ale nie każdy zaraz pyta tak obcesowo, pomyślał Dane, lecz uprzejmie udzielił odpowiedzi.

- Pracowałem jako kardiochirurg. Bez długotrwałej fizykoterapii nie mógłbym teraz operować.

Virgil zmarszczył czoło.

- Jak to się stało?

- Miałem wypadek.

Dane powiedział to takim tonem, że każdy powinien zrozumieć, że to koniec rozmowy na ten temat.

- Dam panu skierowanie na badanie krwi - mówił dalej oficjalnym tonem. - Zrobi pan je jutro rano w szpitalu, tylko proszę przyjść na czczo.

- Podejrzewa pan, że to coś gorszego niż zgaga?

- Musimy sprawdzić. Proszę w dalszym ciągu brać lek przepisany przez doktor Youngbear.

Virgil był niepoprawny.

- A co pan doktor o niej myśli? - zapytał ze zwykłą sobie bezpośredniością.

Zaskoczył swojego rozmówcę.

- Znamy się dopiero od kilku dni, ale uważam...

- ...że jest dobrym lekarzem - dokończył za niego Virgil. - Ale nie o to mi chodzi.

Dane otaksował go wzrokiem.

- A o co panu chodzi?

Niełatwo było speszyć zastępcę szeryfa Red Bluff.

- Clara mówiła, że spotkała was na festynie. Maria to bardzo ładna kobieta, więc sobie pomyślałem, że coś kombinujecie...

Dane osłupiał. Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Szczerość Virgila miała w sobie coś niesamowitego.

Sytuacja zresztą była dziwna. Po tym, co zaszło na festynie, Maria zachowywała dystans i prawie się do niego nie odzywała, jeśli nie liczyć uprzejmych, fachowych uwag.

Musiał szybko znaleźć jakiś cywilizowany sposób na okiełznanie ciekawości niesubordynowanego pacjenta.

- Panie Harrihan...

- Mów mi Virgil.

- Dobrze, Virgil, jesteśmy z doktor Youngbear tylko kolegami. Pracujemy razem, a z czasem może się zaprzyjaźnimy.

- To znaczy, że nie ma nic na rzeczy?

- To znaczy - odparł Dane zrezygnowanym głosem - że jestem tutaj od czterech dni i nawet jeszcze się nie rozpakowałem.

Oczy Virgila rozbliły.

- Ale mieszkanie wynajął pan obok Marii...

W tym miasteczku chyba naprawdę mieszkają sami tajniacy!

- Tak - odparł sucho - tam akurat było wolne.

Virgil nagle stracił zainteresowanie jego prywatnym życiem.

- Mogę się ubrać? Strasznie ciągnie od okna. Dane skinął głową.

- Niech się pan ubierze. Przed wyjściem proszę zajrzeć do rejestracji i zapisać się na badania.

Odprowałdził pacjenta do drzwi i położył rękę na klamce.

- Jeszcze jedno. - Virgil wcale nie zamierzał tak szybko go opuścić. - Chciałbym panu coś powiedzieć. Maria od rozvodu z nikim się nie spotyka. Przydałaby jej się mała rozrywka. Wie pan, o co mi chodzi?

Dane nie zamierzał ciągnąć tej rozmowy.

- Dziękuję za dobre rady - mruknął z westchnieniem. Jeśli wszyscy pacjenci okażą się tak dociekliwi, przyjdzie chyba zwariować...

O wpół do szóstej zasiadł właśnie za biurkiem, aby zająć się papierkową robotą, kiedy do ich wspólnego gabinetu weszła Maria. Miała bojową minę i walecznie wypiętą pierś.

- Dlaczego zakwestionowałeś moją diagnozę? - zapytała bez wstępów.

Dane zrozumiał, że to dalszy ciąg „sprawy Harrihana”.

- Niczego nie kwestionowałem. Polecilem mu, żeby dalej brał zalecony przez ciebie lek, ale ponieważ od dawna nie miał robionych badań, a jego ojciec umarł na atak serca, kazałem sprawdzić mu cholesterol. Masz coś przeciwko temu?

Twarz Marii złagodniała.

- Rozumiem. Proponowałem mu badanie krwi, ale wykręcił się brakiem czasu.

- Czyli sprawa się wyjaśniła.

Nie spuszczał z niej oka, a ona dzielnie to wytrzymała.

- Na szczęście.

Atmosfera nagle zrobiła się gęsta.

- Musimy tylko jeszcze coś sobie wyjaśnić - powiedział spokojnie Dane.

Determinacja w jego głosie świadczyła o tym, że będzie mowa o niedzielnym wieczorze, i tak też się stało. Maria zarumieniła się.

- Odszedłeś bez pożegnania... - zaczęła z wyrzutem.
- Nie chciałem ci przeszkadzać.
- Tylko raz zatańczyłam z Wyattem, a ty od razu sobie poszedłeś.

Jej szczerość i prostota po raz kolejny zdumiały go i rozbroiły. A gdyby tak spróbował pójść w jej ślady?

- Nie mogłem z tobą tańczyć, bo to byłby błąd - wyjaśnił.
- Dlaczego?
- Byłbym nielojalny wobec własnej żony.

Przez chwilę milczała, zastanawiając się nad jego słowami.

- Jak dawno ona umarła? - spytała potem.
- W grudniu miną dwa lata.

Nie zapytała o nic więcej i dobrze zrobiła, bo i tak by jej nie odpowiedział.

- Nie musieliśmy tańczyć - szepnęła tylko. Przypomniał sobie jedwabistość jej włosów i delikatny atłas skóry. Podniósł się z krzesła.

- Jesteś piękną kobietą, Mario, ale ja muszę próbować zacząć wszystko od nowa i nie mogę sobie pozwolić, żeby coś mnie rozpraszało.

- A na co możesz sobie pozwolić? - zapytała poważnie.

Jej pytanie zabrzmiało dwuznacznie. Spojrzał w piękne oczy stojącej obok kobiety i zapragnął wziąć ją w ramiona.

- Nie wiem, sam nie wiem. Nawet nie wiem, od czego zacząć. Dziś wieczór się przeprowadzam.

- Znalazłeś już jakieś meble? - zapytała i wrócili na bezpieczny grunt konkretnych spraw.

- Coś niecoś kupiłem, ale przywiozą mi to dopiero pod koniec tygodnia. Na razie będę spał na materacu.

Maria uśmiechnęła się figlarnie.

- Lepsze to niż łóżko w motelu? Dane skinął głową.
- Tak. Będę u siebie, będzie mi łatwiej zacząć nowe życie.

Popatrzyła na niego i znowu nabrał przekonania, że Maria widzi więcej niż inni ludzie.

- A jakie ma być to twoje nowe życie?

- Spokojne - odparł z przekonaniem.

Takie jak przed wypadkiem, dodał w myślach.

- Mam nadzieję, że ci się uda - powiedziała Maria i wyszła równie szybko, jak weszła.

Dane długo patrzył w ślad za nią, zastanawiając się nad ironią losu, która sprawia, że musi za wszelką cenę wystrzegając się myśli o jedynej istocie na ziemi, o której chciałby myśleć.

Okolo ósmej wieczorem usłyszała jakiś ruch w mieszkaniu za ścianą. Nie wiedziała, czy ma udawać, że nic nie słyszy, czy też wyjść i powitać nowego sąsiada. Powstrzymało ją wspomnienie jego niebieskich oczu i wrażenie, jakie na niej zrobił dotyk jego dłoni. Wtedy, w niedzielę, myślała, że świat wokół niej eksploduje albo ziemia usunie jej się spod nóg.

Znała już to uczucie. Doświadczyła go, kiedy Tony wyjechał do Afryki, kiedy ją zostawił i kiedy, pojechawszy do niego, dowiedziała się, że nie jest sam. No i kiedy zorientowała się, że zaszła w ciążę. Wszystko to wydarzyło się poza jej kontrolą i na nic nie miała wpływu.

To, co wydarzy się między nią a Dane'em, nie może być takie. Rozczarowanie, które ją ogarnęło wtedy na festynie, gdy zauważyła zniknięcie Dane'a, zaskoczyło ją. Nieraz już bywała nieprzyjemnie zaskakiwana; było tak również wtedy, kiedy ktoś podawał w wątpliwość jej zawodowe kwalifikacje; zwykle uznawała to za smutną konieczność; takie było życie. Ale wszystko, co miało związek z Dane'em, musi być... inne. Dlatego tak ostro zareagowała na sprawę Virgila.

Ale przecież on wcale nie podważył wiarygodności jej terapii, on tylko rozszerzył jej diagnozę.

Po dziewiątej położyła córeczkę spać i wyszła na taras.

- Może kawałek pizzy?

Dobrze znany głos doszedł ją z otwartych drzwi balkonowych obok. Dopiero wtedy zauważyła, że Dane zagospodarował już swoją część tarasu. Stały tam dwa ogrodowe krzesła i mały biały stolik. Jego blat niemal w całości zajmowało wielkie pudło z pizzą.

Przeszła na część tarasu należącą do Dane'a.

- Czujesz się już jak w domu? - zapytała.

- Niezupełnie - odparł. - Sypiam na materacu, a te ogrodowe mebelki służą mi zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Moje zakupy jeszcze nie nadeszły.

Zapadła noc i na ciemnym niebie zaśniły gwiazdy. Księżyc objął ich swym blaskiem i Maria poczuła, że powinna jak najszybciej stąd uciec i zabarykadować się u siebie. Nie była jednak tchórzem, a Dane fascynował ją ponad wszelkie pojęcie. Może ta fascynacja ustanie, kiedy przestanie przed nim uciekać?

- Jadłaś kolację? - zapytał.

- Nie - przyznała. - Mama chciała, żebym została u nich, ale wolałam wrócić do siebie. Nieraz wolę być sama.

Spojrzał na nią domyślnie.

- Sama z sobą?

- Tak. Bardzo kocham swoją rodzinę, ale gdybym im pozwoliła, weszliby mi na głowę. Nie daliby mi żyć własnym życiem. Wiem, że chcą mojego dobra, ale wolę popełniać błędy na własny rachunek.

Dane położył kawałek pizzy na serwetce i podał go Marii.

- Może byśmy przeszli na moją część tarasu? - zaproponowała. - Muszę słyszeć, czy Sunny się nie budzi.

- Bardzo chętnie - zgodził się Dane. - Twoje krzesła wyglądają na wygodniejsze niż moje.

Rzeczywiście, były wyściełone poduszkami, a stół miał szklany blat.

- Kupiłam je na zawsze. Ty, jak się domyślam, wolisz prowizorkę - powiedziała żartobliwie.

Roześmiał się. Jego niski, zmysłowy śmiech bardzo pasował do nocnego mroku.

Gdy usiedli, Maria zaproponowała:

- Mam butelkę wina. Gdybyś chciał uczcić jakoś swoją przeprowadzkę, moglibyśmy się napić.

- Bardzo dobry pomysł i niezła okazja.

Maria poszła do kuchni, wyjęła butelkę z lodówki i dwa kryształowe kieliszki z szafki.

- Zajmij się tym - powiedziała, wychodząc na taras i podając butelkę swojemu gościowi.

Dane otworzył ją i nappełnił oba kieliszki;

- Bardzo ładne szkło - oświadczył z podziwem.

- To prezent ślubny - wyjaśniła spokojnie. - Bardzo mi się podobają i postanowiłam nie tłuc ich po rozwodzie. Kieliszki nic nie zawiniły.

Dane długo jej się przyglądał.

- Jak to się dzieje, że potrafisz tak o wszystkim mówić bez ogródek?

- Innymi słowy, że tak walę prosto z mostu? Dane uśmiechnął się; wyglądał teraz bardzo młodo.

- Właśnie.

- Wychowałam się w dużej rodzinie - wyjaśniła Maria. - U nas nikt nigdy niczego nie ukrywał, o wszystkim otwarcie się mówiło. Tacy są moi rodzice i takie jest moje rodzeństwo. A ty? Masz brata albo siostrę?

Dane wypił łyk i pokręcił głową.

- Nie, moi rodzice rozwiedli się, kiedy byłem mały.

- Gdzie mieszkają?

- Matka mieszka w Nowym Jorku, pracuje jako doradca finansowy w firmie komputerowej, a ojciec mieszka w Wisconsin, wykłada na uniwersytecie. Jest historykiem.

Zjedli pizzę, wypili wino, porozmawiali o studiach medycznych i zrobiło się zimno.

Maria drgnęła i Dane to zauważył.

- Ciągle nie mogę się przyzwycząić do tego, że wieczory tutaj są takie chłodne - powiedział. - Nawet po najbardziej upalnym dniu.

Marię znowu przeszedł dreszcz.

- To bliskość pustyni - wytłumaczyła mu. - A teraz muszę już iść. Jutro bardzo wczesnie muszę być w przychodni.

Wstała, Dane poszedł w jej ślady. Zawsze uważała, że jest wysoka, ale przy nim wydała się sobie nagle mała i krucha. Nie mogła odejść ostatecznie, nie wyjaśnwszy sprawy Virgila.

- Przepraszam, że tak zareagowałam - powiedziała po prostu. - Chyba przesadziłam.

- Uznałaś, że kwestionuję twoje kompetencje? Skinęła głową.

- Zbyttnio się pośpieszyłam, powinnam była najpierw z tobą porozmawiać.

Patrzył na nią takim wzrokiem, że teraz powinna była się cofnąć, ale tego nie zrobiła.

- Dlaczego tak patrzysz? - szepnęła, z trudem łapiąc oddech.

- Gdybym wtedy w niedzielę nie odszedł i zaprosił cię do tańca, pocałowałbym cię - odpowiedział.

- Ale odszedłeś...

- I od tamtej pory ani na chwilę nie przestałem myśleć, co by było, gdyby...

Wsunął rękę pod jej spadające na ramiona włosy, a ona znieruchomiała jak zahipnotyzowana. Nie zrobiła najmniejszego ruchu, czekając na jego pocałunek. Powoli przyciągnął ją do siebie, dając jej czas na wysunięcie się z jego objęć i ucieczkę.

Całkowicie ją zaskoczył. Nie takiego pocałunku oczekiwała. Jego namiętność oszołomiła ją i rozpałała. Nie wiedziała, że samym pocałunkiem można rozbudzić tak wielką żądzę. A może po prostu już zapomniała, co czuje kobieta, kiedy mężczyzna ją całuje? Dlatego tak zachłannie odpowiadała na jego wezwanie, dlatego tak gorączkowo pragnęła, żeby ją dotykał i pieścił.

Coś się stało między nimi w chwili, kiedy ujrzeni się po raz pierwszy. To coś rosło i pogłębiało się z każdą godziną, którą spędzili, oddychając tym samym powietrzem.

A z Tonym była taka ostrożna! Tak długo się spotykali, zanim się zaręczyli, a potem zachowali czystość aż do dnia ślubu. Oddała mu się dopiero w noc poślubną. Tony był czuły i delikatny, ale nigdy nie rozbudził w niej prawdziwego pożądania. Dane był jak wulkan, nieprzewidywalny i niebezpieczny.

Pierwszy odsunął od niej usta. Spojrzała na niego i przestała go obejmować; jej ramiona opadły.

- Lepiej wracaj do domu, Mario - powiedział smutnym głosem.

- Dlaczego?

- Bo znowu zacznę cię całować i to się źle skończy dla nas obojga.

Nie zamierzała mu pozwalać na podejmowanie decyzji w swoim imieniu.

- Sama wiem, co dla mnie dobre, a co nie.

- Może nie zawsze. Ja też na razie tego nie wiem. Od dwóch lat nie miałem normalnego życia. Muszę sam ze sobą dojść do ładu. Nikt tego za mnie nie zrobi.

Ale ktoś może mu pomóc, może zdjąć z jego ramion ten straszny ciężar, który go przytłacza...

- Nie chcę o tym mówić - ciągnął szybko, nie dopuszczając jej do głosu. - Nie chcę nawet o tym myśleć.

- Czy to ma coś wspólnego z twoją żoną?

- Zostaw mnie, Mario - odezwał się błagalnym głosem. -
Musimy się zadowolić tym, że razem pracujemy.
Unieszczęśliwimy się, pragnąc czegoś więcej.

Wiedziała, że Dane ma rację. Ona również jeszcze nie oderwała się od swojej przeszłości. Tony nauczył ją, że nie wolno wierzyć żadnemu mężczyźnie, a jej rodzice na pewno nie zaaprobowaliby jej związku z Dane'em. Nie miał ani jednej kropli indiańskiej krwi, pochodził z wielkiego miasta, nic go z nimi nie łączyło. Nowy Jork to antypody Nowego Meksyku. Dane miał rację. Jeśli znowu się pocałują, sprowadzą na siebie nieszczęście. Ona też ma swoją dumę. Tony pozbawił ją zaufania do ludzi, ale honoru jej nie odebrał.

- To był tylko pocałunek - odezwała się lekkim tonem. -
Nic się nie stało. Szybko o tym zapomnimy. Bardzo dziękuję za kolację, pizza była świetna. Kiedy już się zagospodarujesz, zaproszę cię na kolację. Do zobaczenia, do jutra.

Otworzyła oszklone drzwi i poszła do siebie z dumnie uniesioną głową i pustką w sercu. Wiedziała, że wbrew temu, co powiedziała, stało się coś nieodwracalnego i że nigdy nie zapomni jego pocałunku.

Wyniki badań Virgila dostała w piątek, późnym popołudniem. Nie miała wątpliwości, że musi je omówić z Dane'em. Najpierw jednak trzeba zapomnieć, co między nimi zaszło na tarasie.

Skup się na pracy, poradziła sobie bez przekonania i postanowiła stawić czoło niebezpieczeństwu. Widok Dane'a uświadomił jej, że równie dobrze mogłaby próbować zapomnieć, jak ma na imię jej córka...

Czas leczy wszystkie rany, pomyślała jeszcze i odważnie spojrzała w jego niebieskie oczy. To, co poczuła, natychmiast uświadomiło jej, że z tym czasem to nie jest prawda.

- Dostałam właśnie wyniki Virgila - zaczęła pozornie opanowanym głosem.

- I co tam znalazłaś? - zapytał oficjalnie. Podała mu zapisane kartki.

- Grozi mu zawał. Bardzo dobrze zrobiłeś, zlecając mu to badanie. Będziemy mogli mu pomóc.

- Pod warunkiem, że się na to zgodzi.

Maria uśmiechnęła się.

- Jeśli przekabacę Clare, ani piśnie.

Odpowiedział jej uśmiechem.

- Wolisz się z nim umówić sama czy ja mam to zrobić?

- Niech sobie sam wybierze lekarza. Rejestratorka do niego zadzwoni i zapisze go na wizytę - postanowiła.

Ledwo to powiedziała, w drzwiach stała Betsy.

- Mario, przyszła twoja mama z Sunny. Mała ma gorączkę.

Ilekczoć coś groziło córce, Maria wpadała w panikę. Tym razem także: na sekundę przestała być lekarzem i przeobraziła się w przerażoną matkę.

Pobiegła do izby przyjęć, gdzie zastała Carmellę z rozpaloną Sunny na kolanach. Dziewczynka otworzyła oczy.

- Chodź, maleńka, zaraz zobaczymy, co ci jest. - Maria wzięła dziecko w ramiona i zaniósła do gabinetu.

Kolejny pacjent, na szczęście, nie przyszedł i mogła się poświęcić własnemu dziecku.

Sunny grzecznie pozwoliła się zbadać i zmierzyć sobie temperaturę w uchu.

- Co jej jest? - z niepokojem spytała Carmella.

- Ma zapalenie ucha. Nic dziwnego, że tak gorączkuje. Ktoś zapukał do drzwi i w progu ukazał się Dane.

- Masz jeszcze jednego pacjenta - powiedział. - Mam go za ciebie przyjąć?

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Jeśli możesz... Ale gorzej, że wieczorem mam w planach coś jeszcze.

- Co? - zapytał.

Sunny zaczęła płakać i Maria wzięła ją na ręce.

- Zaraz dostaniesz lekarstwo, skarbie, i wszystko będzie dobrze. Wieczorem mam zajęcia z młodymi matkami - odpowiedziała Dane'owi. - Mówimy o właściwym odżywianiu, terminach szczepień i o tym, jak zapobiegać niektórym chorobom. Mógłbyś mnie zastąpić?

Sunny wtuliła się w matkę i objęła ją rączkami za szyję. Maria poczuła buchające od niej ciepło.

- Nie mogłabyś tego odwołać? - zapytał Dane.

- Nie bardzo. Niektóre z tych dziewcząt z trudem znajdują chwilę, żeby przyjść. Bywają wśród nich samotne matki.

Z twarzy Dane'a mogła jasno wyczytać, że nie ma ochoty jej zastąpić. Pewnie ma już jakieś plany, może się z kimś umówił?

Matka Marii włączyła się do rozmowy.

- Mogłabym zostać z Sunny dziś wieczorem.

Sunny rozplakała się i jeszcze mocniej objęła matkę za szyję. Maria ani na chwilę nie mogła zostawić jej w tym stanie. Spojrzała na Dane'a błagalnym wzrokiem.

- Dam ci moje notatki. Tylko im je przeczytasz, a potem odpowiesz na kilka pytań.

Zgodził się dopiero po dłuższej chwili.

- Dobrze. Gdzie to jest? W szkole?

- Tak. W jednej z klas, dyrektor ci pokaże. Będzie na ciebie czekał i sam ci otworzy. Potem opowiesz mi, jak było. Bardzo się martwię o dwie spośród tych dziewcząt, Sherry i Tessę. Nie mają żadnego oparcia w domu.

- Rozumiem, zwrócę na nie uwagę - obiecał jej. Uważnie przyjrzał się Sunny.

- Jakiś wirus?

- Zapalenie ucha.

Dane pożegnał się z matką Marii i skierował się do wyjścia.

- Zajmij się małą - powiedział do Marii na odchodnym. - Przejmę twój dyżur telefoniczny.

- Bardzo cię przepraszam - szepnęła. Machnął tylko ręką i poszedł do pacjentów.

Wieczorem szybko zjadł coś w restauracji i udał się do szkoły. Maria zostawiła mu u pielęgniarki szczegółowy opis swoich słuchaczek i problemów, które mogą zainteresować każdą z nich. Dane nie bał się przebiegu wykładu; o to był spokojny. Problem polegał na czym innym.

Nie chciał obcować z dziećmi.

Jadąc na spotkanie, pocieszał się, że wszystko powinno odbyć się bezboleśnie. Powie co trzeba o żywieniu, szczepieniach i ogólnie o rozwoju dziecka, i wróci do domu.

Jego złudzenia rozwiały się już na szkolnym korytarzu. Z drzwi otwartej klasy buchnął gwar zmieszanych głosów. Wszedł i zrozumiał, że popełnił błąd. Młode matki wcale nie przyszły same. Każda trzymała w ramionach dziecko... Były wśród nich niemowlęta i dzieci nieco starsze; dwoje czterolatek uwijało się między krzesłami.

Miał ochotę zatrzaskać drzwi i uciec.

Kiedy jednak na jego widok zapadła cisza i kobiety utkwily w nim spojrzenia, zrozumiał, że to niemożliwe. Czekwały na lekarza i czekały na jego słowa.

Potem każda z nich się przedstawiła i Dane nieco się opanował. Zaczął mówić i spokój pozornie powrócił. Za każdym jednak razem, kiedy jego wzrok spotykał wzrok jakiejś kobiety lub dziecka, czuł rozdzierający ból w piersiach.

Potem nastąpiły pytania. W niektórych sytuacjach nie wystarczyło po prostu na nie odpowiedzieć, trzeba było wysłuchać całej historii.

Sherry, na przykład, skarżyła się, że ojciec chce wyrzucić ją z domu, bo płacz dziecka przeszkadza mu spać. Tessa ze łzami w oczach wyznała, że jej chłopak nie chce uznać syna, ale zmusza ją do uprawiania seksu. Potem musiał wysłuchać jeszcze spowiedzi Michelle i pewno zniósłby mężnie i to, gdyby nie fakt, że dwójka jej szkrabów mocno objęła go za nogi i uniosła ku niemu roześmiane buzie.

Zawsze, kiedy patrzył na dziecko, czuł ten sam ból. Zawsze, kiedy słyszał śmiech dziecka, czuł ten sam ból. Zawsze, kiedy znajdował się w obecności dziecka, widział swojego synka. Słyszał jego śmiech i widział wesołe oczy. Pamiętał każdą chwilę, jakby Keith urodził się wczoraj. Od czasu wypadku unikał dzieci. Tak było łatwiej, tak mniej bolało i czuł się mniej winny.

Teraz, w tej klasie pełnej kobiet i dzieci, nie miał dokąd uciec. Zewsząd bombardowały go wspomnienia, a natężenie bólu stawało się nie do zniesienia. Opuścił szkołę oszołomiony i obolały. Z niechęcią i złością pomyślał o Marii: to przez nią znalazł się w sytuacji, która go przerosła. Mogła przecież odwołać te cholerne zajęcia, nic by się nie stało!

A on nigdy nie powinien był się zgodzić na to zastępstwo. Egoizm nie zawsze musi być czymś złym, nieraz trzeba myśleć tylko o sobie, choćby po to, żeby się obronić.

Jechał do domu, słysząc w uszach krzyk żony i synka, tak jak to słyszał w najgorszych koszmarach sennych.

Wszedł na górę i zamiast zastukać do Marii i zdać jej sprawozdanie, poszedł prosto do siebie. Przebrał się i wyszedł pobiegać. Nie obchodziła go ani czerń nocy, ani fakt, że nie zna okolicy i w każdej chwili może wpaść pod samochód. Nic go nie obchodziło. Rozdzierał go zagłuszający wszystko ból.

Nie wiedział, jak długo biegł, nie wiedział, ile kilometrów przebył. Chciał znaleźć się jak najdalej od samego siebie, chciał zrzucić z serca ciężar, który go unicestwiał.

Wiedział, że to niemożliwe.

Wrócił do domu zmęczony i spocony. Wyjął z lodówki puszkę piwa i wyszedł na taras. Przez chwilę próbował opanować gonitwę myśli. Otworzył puszkę, ale przypomniał sobie, że ma telefoniczny dyżur, i odstawił ją na stolik.

Chyba jęknął, bo doszło go echo własnego głosu.

Oszklone sąsiednie drzwi otworzyły się.

Nie chciał widzieć Marii, nie chciał widzieć jej córki; wyrzuciły mu zbyt wielką krzywdę. Maria podeszła i ze zdziwieniem spojrzała na jego sportowy strój.

- Byłeś na zajęciach? - spytała z niepokojem.

Miała na sobie skąpe szorty, kusą koszulkę i bose stopy. Wyglądała tak pięknie, że o mało nie jęknął po raz drugi.

- Tak! - wypalił zamiast tego. - Odwaliłem te twoje cholerne zajęcia, ale następnym razem znajdź sobie na zastępstwo kogoś innego.

Jad w jego głosie wcale jej nie zraził. Podeszła bliżej i spojrzała na niego zatroskanym wzrokiem.

- Co się stało, Dane?

Nerwowo przeczesał ręką włosy i wskazał jej drzwi.

- Wracaj do siebie, Mario, zajmij się swoją córką i raz na zawsze zostaw mnie w spokoju.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Podobna arogancja spłoszyłaby każdą kobietę, ale Maria nie była zwykłą kobietą. Przez chwilę stała w milczeniu, a potem jakby nigdy nic powtórzyła:

- Co się stało?

- Zapomniałaś mnie uprzedzić, że prawie wszystkie kobiety przyjdą z dziećmi - wycedził z goryczą.

- Nie mają z kim ich zostawić, a nie stać ich na wynajęcie opiekunki.

- Nie obchodzi mnie to. Faktem jest, że wbrew swojej woli znalazłem się wśród kobiet i dzieci. Musiałem na nie patrzeć, musiałem słyszeć ich głosy! Niektóre nawet mnie dotykały.

W oczach Marii ukazała się głęboka zaduma.

- Dziwna jest ta twoja niechęć, zważywszy, że jesteś pediatrą...

- Nie zamierzam analizować swojego stanu ducha!

- Chyba tego nie unikniemy. Jeśli masz jakiś problem... Spodziewała się wybuchu, a tymczasem doszedł ją jego cichy głos:

- Ja po prostu nie jestem w stanie na to patrzeć. Przyjechałem do Red Bluff, żeby zapomnieć, i nie mogę sobie pozwolić na rozdrapywanie ran.

Podeszła bliżej.

- Opowiedz mi wszystko.

Jej upór doprowadzał go do rozpacz i wiedział, że jest tylko jeden sposób, żeby przestała go nagabywać.

- Dobrze. Miałem żonę i syna, miałem życie. Straciłem to wszystko ze swojej własnej winy.

- Jak to?

Proste pytanie Marii wbiło się w niego jak sztylet. Tylko w jeden sposób mógł stępić jego ostrze.

- Był początek grudnia - zacząj powoli. - Jechaliśmy na narty do Vermontu. Nie wiem, jak to się właściwie stało. Przez cały czas padał śnieg, było bardzo ślisko. Miałem zimowe opony, byłem przyzwyczajony do takich warunków, w Nowej Anglii często tak bywa. Nie wiem...

Podniósł głowę i spojrzał w ciemne niebo, jakby w nim szukał światła, które zgasło w tamtym feralnym dniu.

Maria położyła dłoń na jego ramieniu. Jej chłodna ręka była niczym lekarstwo na jego rozpalone ciało.

- Wypadek wydarzył się błyskawicznie - ciągnął Dane martwym głosem. - Potem mi mówili, że nic nie mogłem zrobić. Nie wierzę, byłem dobrym kierowcą, powinienem był przewidzieć każdą sytuację.

- Wpadłeś w poślizg? - zapytała cicho.

- To się stało na zakręcie. Wypadł na nas samochód ciężarowy, który za szybko jechał. Jego światła mnie oślepiły. Zepchnął nas na pobocze i uderzyłem w drzewo. Usłyszałem krzyk Ellen i Keitha, a potem straciłem przytomność.

Dłoń Marii na jego ramieniu zadrżała, a może tylko mu się tak wydało.

- Po dwóch dniach, kiedy odzyskałem przytomność, lekarz powiedział mi, że moja żona i syn nie żyją.

- Dane... - szepnęła Maria i nie dodała nic więcej. Czuł, że go rozumie. Zwrócił ku niej wzrok. Spojrzał w przepastne ciemne oczy.

- Po kolejnej operacji dotarło do mnie, że już nigdy nie będę kardiochirurgiem. Powiedziano mi, że mam jakąś szansę, ale musiałbym poddać się długotrwałej terapii. Nie chciałem, wziąłem trzy miesiące urlopu.

- Co wtedy robiłeś?

- Zamknąłem się w naszym domu w Connecticut i piłem. Potem zrozumiałem, że moje życie się skończyło. Sprzedałem dom i wróciłem do Nowego Jorku. Mieliśmy tam mieszkanie.

Przez rok pracowałem jako konsultant na kardiologii, potem...
- Pokręcił głową. - Miałem dość tej wegetacji. Wtedy znalazłem twoje ogłoszenie i pomyślałem, że to może być wyjście. Praca w małej przychodni... Zgłosiłem się i przyjechałem.

Wziął głęboki oddech.

- Myślałem, że można zapomnieć, ale to niemożliwe. Dzisiaj przeszłość wróciła i zrozumiałem, że tak będzie zawsze. Już nigdy nie zapomnę żony i dziecka i nigdy nie przestanę za nimi tęsknić.

- Jest mi tak strasznie przykro... Ujrzał w jej oczach łzy.

- Niepotrzebna mi twoja litość, Mario.

- A co jest ci potrzebne? - zapytała łagodnie.

- Chciałbym zostać sam. Zupełnie jakby tego nie dosłyszała.

- Ból nigdy nie minie - powiedziała bardzo cicho - ale można się nauczyć z nim żyć.

Spojrzał na nią posepnie.

- Straciłaś kiedyś kogoś najbliższego? Nie odwróciła oczu.

- Tak, męża.

- To nie to samo. Ja ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało.

- Ja również - powiedziała stanowczo.

Odwrócił głowę. Ona chyba nie rozumie, że rozwód i śmierć to nie to samo.

- Nic nie trwa wiecznie - mówiła dalej Maria. - Kiedyś wszystko mija, takie jest działanie czasu. W przeciwnym razie ludzie nie mogliby żyć.

Rozpacz w jego oczach ustąpiła miejsca ironii.

- Skąd wiesz takie mądre rzeczy? - spytał z goryczą.

- Od matki - odparła z rozbijającą szczerością. - Moja mama jest bardzo mądrą kobietą. A teraz powiedz, co mogę dla ciebie zrobić?

Dobrze wiedział, co mogła dla niego zrobić, i był pewien, że gdyby to zrobili, może na chwilę zapomnieliby o przeszłości. Zdawał sobie również sprawę z tego, że oboje mogliby drogo za to zapłacić. Było jeszcze za wcześnie.

- Wracaj do siebie, Mario - rzekł cicho. - Jakoś dam sobie radę.

W jej spojrzeniu wyczytał, że nie musi być sam.

- Dam sobie radę - powtórzył z uporem. - Nikt nie może mi pomóc.

- Próbowalesz dać komuś szansę?

Na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć.

- Nie ma co się łudzić. - Wiedział, że mówiąc to, robi unik, ale nie stać go było na nic innego. - Idź do siebie, Mario... - powtórzył jak refren.

Posłuchała go. Nie byłaby jednak sobą, gdyby na odchodnym nie dodała:

- Tylko potem nie udawaj, że ta dzisiejsza rozmowa nie miała miejsca. Ja w każdym bądź razie nie mam zamiaru udawać.

Nie rozumiał, dlaczego tak bardzo zapragnął nagle pobiec za nią. Rozumiał natomiast, dlaczego całą siłą woli stłumił to pragnienie. Nie potrzebował uczuciowych komplikacji. 'Uzdrowić go mogła tylko praca.

W poniedziałek rano zjawił się w przychodni, próbując zapomnieć o piątkowym wieczorze, podobnie jak o wszystkim, czego nie chciał pamiętać. Weekend spędził z dala od domu i z dala od Marii. Pojechał do Albuquerque, zwiedził okolicę i, mimo że nie został uzdrowiony, dystans dobrze mu zrobił.

Z powodu ręki postanowił nagrywać wywiady z pacjentami, a potem spisywać je z taśmy. Był właśnie pogrążony w pracy, kiedy do pokoju weszła Maria z kawą w rękach. Postawiła jeden kubek na jego biurku. Ujrzał zarys jej dłoni i piątkowy wieczór stanął mu przed oczami.

- Jak się czuje Sunny? - zapytał.

- Zupełnie dobrze.

- Dziękuję za kawę - powiedział, jakby uważał wymianę zdań za skończoną.

Nie spuszczał z niego wzroku, Maria przysiadła na swoim biurku.

- Mogłam ci przecież pomóc przy wypełnianiu kart - odezwała się przyjaźnie.

- Masz wystarczająco dużo pracy.

- Przejrzę nasz budżet, może uda się wygospodarować jakąś sumkę na maszynistkę. Betsy mogłaby to robić po godzinach.

Dane zamyślił się.

- Może to rzeczywiście dobry pomysł.

- Dobry, ale nie jedyny - oświadczyła. Zrozumiał, że nie da mu spokoju; odłożył pióro i wyprostował się na krześle.

- Co masz na myśli? - zapytał.

- Gdybyś mi pozwolił zbadać rękę, mogłabym cię skierować na fizykoterapię. Szybko odzyskałbyś sprawność.

Dane pokręcił głową.

- Nie zasłużyłem na to. Moja okaleczona ręka to kara za to, że nie zapewniłem bezpieczeństwa osobom, które kochałem.

Nie przekonał jej.

- Nie sądzę. Chyba raczej znalazłeś się o niewłaściwej porze w niewłaściwym miejscu. Miałeś wypadek, a teraz musisz naprawić szkodę.

Zapadło milczenie.

- Wierzysz w Boga? - zapytał w końcu.
- Wierzę w kogoś mądrzejszego i bardziej wspaniałomyślnego ode mnie - odparła po prostu.

- Jakieś indiańskie bóstwa?
- Moi przodkowie dawno temu przeszli na katolicyzm. Nie zerwaliśmy jednak zupełnie z wierzeniami Czejenów. Nie ma w tym żadnej sprzeczności. Nie wierzę, że to Bóg spowodował śmierć twojej żony i syna, i że to Bóg pragnął mojego rozwodu. Mamy wolną wolę, sami dokonujemy wyboru, a potem ponosimy konsekwencje.

Patrzył na nią w zadumie.

- Przez całe życie bardzo dużo pracowałem - zwierzył się.
- Rzadko bywałem w domu. Dopiero kiedy odeszli na zawsze, zrozumiałem, że nie zdążyłem ich kochać.

- Taka specjalność jak dziecięca kardiochirurgia jest bardzo absorbująca.

Nie słuchał jej, bo nie szukał usprawiedliwienia; szukał prawdy.

- Owszem, ale ja kochałem swoją pracę. Wszystko mnie interesowało, każdy przypadek w szpitalu był dla mnie ważniejszy niż życie rodzinne. Chciałem ratować każde dziecko, a nie potrafiłem uratować własnego.

- To nie ma żadnego związku - oświadczyła Maria.

- A może ma...

Znowu zapadła cisza; przerwała ją Maria.

- Daj mi zbadać rękę - powiedziała głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Znał ją już na tyle, by wiedzieć, że jeśli odmówi, Maria powtórzy prośbę.

- Dobrze.

Nic nie było dobrze; urok tej kobiety działał na niego tak silnie, że chodził jak odurzony. Jak mógł ufać swojemu rozsądkowi, skoro czuł się jak w hipnozie?

Maria nagle uśmiechnęła się i przestał myśleć. Potulnie udał się za nią do pokoju zabiegowego i pozwolił usadowić się na kozetce. Ostatkiem sił próbował zaprotestować.

- Czyżbyś należał do tych lekarzy, którzy nie potrafią być pacjentami? - zapytała z wyrozumiałym uśmiechem.

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie połącz się i daj mi rękę.

Ujęła jego dłoń tak szybko, że nie zdążył się przygotować, i zaczęła ją badać.

- Teraz boli?

Nie był w stanie określić, co czuje. Całe jego ciało jak automat natychmiast odpowiadało na jej dotyk. Doprowadzało go to do szaleństwa; to nie był ból, tylko coś, co przypominało silne dreszcze rozchodzące się jak wezbrane fale.

Nie wiedział, jak długo trwało badanie; wiedział tylko, że nie wytrzymałby tej „tortury” ani chwili dłużej.

Maria w końcu przestała.

- Jak wiesz - oznajmiła - fizykoterapia bardzo by ci pomogła. W tej chwili nie potrafię ci powiedzieć, czy będziesz mógł w pełni odzyskać dawną sprawność i operować, ale na pewno będziesz mógł pisać i znacznie rozszerzyć zakres wykonywanych czynności. To, że siebie ukarzesz, nie zwróci życia twojej rodzinie.

Tego był świadomy. Cierpiąc fizycznie, czuł się jednak pewniej, zupełnie jakby w ten sposób w mniejszym stopniu zdradzał tych, których nie potrafił ochronić przed śmiercią.

Wiedział też, że czas leczy rany. Nie mógł tego wyznać Marii, ale ostatnio twarz Ellen zacierała mu się w pamięci, a szczebiotanie Keitha brzmiało cichszym echem. Nie mógł też powiedzieć Marii, że kiedy patrzył na nią i Sunny, czuł teraz nie tylko ból utraconego szczęścia...

Odsunął rękę, jakby zamierzał, ruchem małego chłopca, schować ją za siebie.

- Musimy iść do pacjentów - powiedział. Maria nie spuszczała z niego baczego spojrzenia.

- A co z fizykoterapią?

- Nie mam czasu jeździć do Albuquerque na rehabilitację,

- Wcale nie musisz. Możemy zacząć tutaj, codziennie rano, zanim pojawią się pacjenci. Nieraz już tak robiłam.

Nie mógł ukryć goryczy, jaką napełniała go jej pewność siebie.

- Znasz odpowiedź na każde pytanie - fuknął. Drażniła go ta niezmacona pewność siebie, tak jakby

nigdy nie zaznała wahań i wątpliwości. Świat według Marii Youngbear wydawał się jasny i prosty.

- Nie znam odpowiedzi na każde pytanie - odparła spokojnie. - Po prostu wiem, co zrobić, żebyś odzyskał władzę w prawej ręce, jeśli tego chcesz.

Nie mógł dużej patrzeć w te ciemne oczy, bo to równało się zdradzie Ellen i Keitha.

- Dobrze, zastanowię się - powiedział i opuścił pokój zabiegowy.

Właśnie „z pomocą” Sunny sprzątała mieszkanie, kiedy usłyszała jakiś rumor na klatce schodowej i uzmysłowiła sobie, że pewnie nadjechały meble Dane'a.

Od czasu badania wiele ze sobą nie rozmawiali. Przekroczyła wtedy pewną granicę jego prywatności i Dane musiał teraz sam zdecydować, czy ma ją wpuścić na swoje terytorium, czy może wypędzić ją z niego na zawsze.

Dobrze wiedziała, co to znaczy zerwać z przeszłością. Znała uporczywość pewnych snów i natarczywość wspomnień. Pamiętała, co czuła po powrocie z Afryki, kiedy Tony zasugerował, żeby przerwała ciążę.

Dane znajdował się w czyścucu, gdzie przeszłość znaczy więcej niż przyszłość.

Ona przynajmniej miała Sunny.

- Nie zdrzemniesz się, słoneczko? - zapytała córkę. Sunny nieraz jeszcze sypiała w ciągu dnia. Maria nigdy nie zmuszała jej do tego, wychodząc z założenia, że mała musi mieć prawo wyboru.

Przez taras przesunął się cień; to dwaj mężczyźni dźwigali coś ciężkiego.

- Zobaczymy? - Sunny uniosła główkę i roześmiała się.

Odkąd Maria zrozumiała, na czym polega przykrość, jaką Dane'owi sprawia obcowanie z dziećmi, starała się, aby jak najrzadziej widywał jej córeczkę.

- Lepiej coś zjemy - powiedziała wesoło. - Może kanapkę z masłem orzechowym?

Sunny, zapatrzona w robotników na tarasie, milczała, ale Maria wiedziała, że kiedy wetknie jej w rączkę bułkę z masłem orzechowym, dziewczynka zapomni o bożym świecie.

Poszła na chwilę do kuchni, a kiedy wróciła, Sunny nie było. Przerazona wypada na taras.

Dziewczynka stała przy drzwiach Dane'a z noskiem przylepionym do szyby.

- Ce popatrzeć, co lobią - oznajmiła spokojnie matce. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i ukazał się

Dane. Miał na sobie szorty i błękitną koszulkę polo.

- Witaj, maleńka.

- Co lobią? - zapytała rezolutnie Sunny i włożyła paluszek do buzi.

Dane roześmiał się.

- Ustawiają meble - odrzekł. - To nie jest ciekawe widowisko.

Maria ujęła dziecko za ramiona, próbując je odciągnąć.

- Przepraszam, że ci przeszkadzamy, jesteś przecież zajęty.

- Wcale nie - zaprotestował. - Robotnicy właśnie poszli. Kanapę zostawili na środku, bo nie mogłem się zdecydować, gdzie ją postawić.

Sunny bez słowa wyrwała się matce i wbiegła do salonu Dane'a. Wskoczyła na nową kanapę i roześmiała się radośnie.

Maria próbowała ją powstrzymać.

- Chodź do domu, przygotowałam ci bułeczkę z masłem orzechowym.

Dane ujął ją za łokieć.

- Zostańcie na chwilę. Może mi doradzicie, jak ustawić meble.

Zabrakło jej tchu; uniosła na niego pytający wzrok. Czyżby ją zapraszał... do swojego życia? Chyba nie, ale jego dotyk sprawiał, że traciła zmysły.

Dane cofnął rękę i Maria odzyskała przytomność.

- Kupiłeś bardzo dużo mebli - stwierdziła, siląc się na obojętność.

W salonie, prócz kanapy, znajdowały się fotele, stoliki, telewizor i regał na książki.

- Kanapę postaw pod ścianą - poradziła mu niezbyt oryginalnie i zaraz zaproponowała: - Pomogę ci ją przesunąć.

Przez godzinę ustawiali meble, żartując, śmiejąc się i raz po raz spoglądając sobie w oczy. Sunny w tym czasie zaglądała w każdy kącik i wypróbowała wszystkie meble, nie wyłączając wielkiego łóża w sypialni.

Kiedy wreszcie skończyli i z dumą spojrzeli na swoje dzieło, dziewczynka pociągnęła matkę za rąbek spódnicy.

- Ce jeść...

Maria rzuciła okiem na zegarek. Dochodziła piąta.

- Zrobiło się strasznie późno, a nie zjadłaś podwieczorku. Zostawimy teraz Dane'a w spokoju, niech się nacieszy swoim nowym mieszkaniem.

- Może byście zostały na kolacji? - zaproponował. -
Lubisz hot dogi, Sunny?

Dziewczynka z zapalem kiwnęła główką.

- Z mustardą - oznajmiła stanowczo. Dane roześmiał się.

- Mam nadzieję, że nie zapomniałem kupić musztardy.
Zaraz wypróbujemy mój nowy grill.

- Nie będziemy przeszkadzać? - niepewnie spytała Maria.

- Na pewno nie. Zostańcie, chyba że masz inne plany?
Roześmiała się. Chyba nie myśli, że ona ma randkę.

- Nie mam żadnych planów.

Dane przygotował hot dogi, a Maria zrobiła sałatkę. Przyniosła też ciasteczka, które rano upiekła dla Sunny. Dane przeniósł jeden z foteli z jej części tarasu i usiadł wygodnie, rozmawiając o pacjentach i sąsiadach, starannie przy tym unikając poważnych tematów.

Sunny umazała sobie buzię musztardą i Dane troskliwie wytarł ją serwetką. Patrząc na niego, Maria zastanawiała się, czy nie ma on w tej chwili przed oczami zupełnie innego dziecka.

Potem wziął hot doga i powoli zaczął karmić Sunny. Mała odgryzała kawałek za kawałkiem, patrząc na niego śmiejącymi się oczami. Do końca kolacji nie zaszło nic złego i Maria z westchnieniem ulgi posadziła córeczkę przed telewizorem, a sama poszła z gospodarzem do kuchni pomóc przy sprzątanii.

- Sunny chyba zasnęła - powiedział w pewnej chwili Dane, usuwając resztki jedzenia z talerzy.

Maria zaczęła wkładać naczynia do zmywarki.

- Powinna więcej sypiać w dzień - powiedziała - a może tylko ja tego chcę, bo w ten sposób dłużej będę miała małe dziecko.

- Tak, one trochę za szybko rosną...

- Ile lat miał Keith? - odważyła się zapytać.

- Pięc - odparł, zaskoczony jej pytaniem.
- Chodził do przedszkola?
- Właśnie zaczął we wrześniu.

Ta krótka wymiana zdań uświadomiła mu, że nikt dotąd nie rozmawiał z nim na ten temat.

- Ktoś po raz pierwszy mi o nim przypomina...
- Ludzie bali się, bo widzieli ból w twoich oczach.
- A ja myślałem, że tak świetnie się maskuję. - W jego głosie zabrzmiała ironia. - Uważałem, że nic nie widać.
- Nie można unikać mówienia o naszych najbliższych, kiedy odeszli, bo oni stale tutaj są, obok nas.

Zwrócił ku niej zaintrygowane spojrzenie.

- Skąd wiesz?

Maria pochyliła się nad zmywarką.

- Byłam bardzo zżyta z moją babcią, matką mojej mamy. Umarła, kiedy miałam piętnaście lat, i uważałam, że będę mniej cierpieć, nie myśląc o niej. Pewnego dnia poszłam na pustynię, żeby się wyplakać, i wtedy w tej pustce poczułam jej obecność. Była obok mnie, widziała mnie, uśmiechała się do mnie, poczułam na ramieniu dotyk jej ręki i zrozumiałam, że nigdy mnie nie opuści. Odtąd zupełnie zmieniłam taktykę. Myślałam o niej cały czas, przypominając sobie każdy szczegół z naszego wspólnego życia. Opowiedziałam o wszystkim mamie i odtąd razem przywoływałyśmy wspomnienia, i babcia zawsze była przy nas.

- Mam nieraz wrażenie, że walczą we mnie dwie wrogie siły - wyznał cicho Dane. - Jedna każe mi zapomnieć, a druga woła, że nie wolno.

- Te siły pewnego dnia pogodzą się ze sobą, tylko musisz im na to pozwolić.

Podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach.

- Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem - wyznał jej. - Nie wyobrażałem sobie, że kiedykolwiek będę mógł to zrobić z tobą.

Utonęła wzrokiem w błękanie jego spojrzenia i zarzuciła mu ręce na szyję. Podczas pocałunku zbladł cały otaczający ich świat i rzeczywistość cofnęła się gdzieś daleko.

Maria nie знаła dotąd prawdziwej namiętności, z Tonym to było zupełnie co innego. Nigdy nie doświadczyła tego żaru i zapamiętania. Całym ciałem przyłgnęła do obejmującego ją mężczyzny. Gdy wyczuła jego gotowość, zeszywniała.

Namiętność, żar, podniecenie, cudowne uczucie odchodzenia od rzeczywistości nagle ją przeraziły. Nie wiedziała, czy jest gotowa. Tak bardzo zajęła się życiem psychicznym Dane'a, że zapomniała zastanowić się, czego sama chce. Czy chce raz na zawsze zerwać z przeszłością? Czy chce poznać coś, czego nigdy nie zaznała? Czy ufa temu człowiekowi?

I co z Sunny?

Przecież wie, że Dane nie znosi obecności dzieci.

Myśli te skutecznie ściągnęły ją na ziemię. Odsunęła się, próbując zapanować nad drżącym ciałem.

- Muszę iść - powiedziała nieswoim głosem.

- Mario... - szepnął. Potrząsnęła głową.

- Próbuję zrozumieć, co jest między nami, ale nie mogę. Nie wiem, czy dla ciebie to tylko ucieczka od przeszłości, nie wiem, czy dla mnie to jest tylko sprawa seksu. Musimy się dobrze zastanowić i rozpoznać nasze uczucia, w przeciwnym razie wyrzadzimy sobie krzywdę.

Jego niebieskie oczy pociemniały.

- To mogłoby być po prostu bardzo przyjemne... Maria powoli pokręciła głową.

- Ja tak nie mogę, ja jestem inna - rzekła cicho. - Nie mogłabym spędzić nocy z mężczyzną, a potem rano powiedzieć mu do widzenia.

- A ja na razie nie widzę żadnej innej możliwości... Jego słowa bardzo ją zabrały. Zrozumiała, że Dane nie podziela jej gotowości do zerwania z przeszłością. Może jego umiejętność kochania umarła razem z żoną...

Siłą powstrzymała łzy. To znaczy, że jej i Dane'a nie połączy nic więcej; mogą tylko razem pracować i od czasu do czasu spotykać się jak sąsiedzi.

Poszła do salonu po córeczkę, ale Dane wyprzedził ją.

- Pomogę ci ją zanieść.

Pozwoliła mu wziąć Sunny na ręce i ze spuszczoną głową wyszła na taras, kierując się w stronę swojego mieszkania.

Czuła, że na zawsze opuszcza życie Dane'a.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Unikała go przez cały tydzień, aż zaczęło go to denerwować. Odkąd pożegnali się w sobotni wieczór, zamieniła z nim tylko kilka zdawkowych słów. Rozumiał, że Maria wznosi barykadę, broniąc się przed namiętnością. On pragnął jej ulec, Maria pragnęła ją zwalczyć. Oboje się mylili. Nikt nie miał racji. Po prostu bardzo się od siebie różnili.

W piątek rano wszedł do gabinetu, żeby wziąć taśmy do przepisania, i wtedy zajrzała do niego Betsy.

- Dzwonią ze szkoły. Chcą rozmawiać z panem albo z Marią.

- Proszę mnie połączyć - powiedział, bo chwilowo nie miał pacjentów. - Mówi doktor Cameron, w czym mogę pomóc? - odezwał się do słuchawki.

- Tutaj Elwin, jestem szkolnym trenerem. - Męski głos był bardzo przejęty. - Mamy pewien problem. Na boisku chłopcy nagle zaczęli się szarpać i jeden z nich, Joe Eagle, upadł i uderzył się w głowę. Mówi, że nic mu nie jest, ale wolałbym sprawdzić.

Joe Eagle? Brat Marii?

- To może być wstrząs mózgu, zaraz tam jadę.

Po dziesięciu minutach Dane wchodził już do szkolnej szatni. Pod szafkami, na ławce, siedział Joe z trenerem.

Chłopiec uniósł oczy i rozpoznał go; nie wydawał się zadowolony z tego spotkania.

- Poczekam na zewnątrz. - Trener wyszedł i zostawił ich samych.

Dane wyjął z torby słuchawki i maleńką latareczkę w kształcie ołówka. Joe spojrzał na niego nieprzyjaźnie.

- Nic mi nie jest, po prostu się uderzyłem.

- Kręci ci się w głowie?

- Nie.

Dane uważnie obejrzał mu źrenice.

- Jak wiesz - powiedział - taki uraz może być poważny. Lepiej niczego przede mną nie ukrywaj.

- Powiedziałem już, że wszystko w porządku - z uporem powtórzył chłopiec.

- Możesz mi opowiedzieć, jak to się stało? Widać było, że Joe przełamuje się.

- Trevor obraził moją siostrę. Nie chciałem się z nim bić, ale nazwał mnie tchórzem i wszyscy się roześmiali.

Dane osłuchał go i kazał wykonać kilka prostych ruchów.

- Co zrobisz, jeśli ta sytuacja znowu się powtórzy? - zapytał potem obojętnym tonem.

Chłopak nie od razu odpowiedział.

- Co to pana obchodzi?

- Nie lubię, kiedy biją słabszego.

Joe zamilkł. Dane schował przyrządy do torby.

- Na szczęście, tym razem nic się nie stało. Ale przez dobę musisz na siebie uważać. Żadnych podskoków, żadnych wstrząsów, rozumiesz?

Na wszelki wypadek postanowił odwiedzić chłopca do domu i przy okazji porozmawiać z jego rodzicami. Powiadomił o tym trenera.

- Rodzice powinni go obserwować przez dzień lub dwa - dodał na odchodnym.

Trener odetchnął z ulgą.

- Dobrze, że to pan przyjechał, doktorze.

- Doktor Youngbear zrobiłaby to samo.

- Wiem, wiem, ale to byłoby... jakoś niezręcznie. Wioząc chłopca do domu, Dane przez cały czas

zastanawiał się, co by to mogło znaczyć. Joe milczał i atmosfera w samochodzie robiła się trudna do zniesienia.

- Coś nie tak? Jesteś jakiś markotny. - Dane zerknął na kamienną twarz chłopca.

- Nie chcę, żeby się rodzice dowiedzieli - odrzekł Joe dopiero po chwili.

- Muszę im powiedzieć - wyjaśnił Dane. - Możesz mieć wstrząs mózgu, a to bardzo niebezpieczne. Rodzice muszą cię obserwować.

Zapadła cisza. Dane odczekał, a potem zapytał:

- Co Trevor powiedział o Marii?

- Coś paskudnego, niech pan jej o tym nie mówi. Tego nie mógł mu przyrzec.

- Nie sądzisz, że i tak się dowie? Przecież wszyscy to słyszeli, trener, twoi koledzy.

Joe rzucił mu spojrzenie, które każdego dorosłego wprowadziłoby w rozpacz. Dane nagle poczuł, że musi mu pomóc. W jakiś dziwny sposób czuł się odpowiedzialny za to czupurne, nieopierzone stworzenie.

- Musisz mieć jakiś plan - oświadczył. - Musisz wiedzieć, co zrobisz, jeśli Trevor znowu zacznie.

Joe milczał.

- Możesz po prostu schodzić mu z drogi - ciągnął Dane - ale to nie zawsze możliwe. Mógłbym ci udzielić kilku lekcji samoobrony. Na wszelki wypadek.

Joe z nagłym zainteresowaniem zwrócił ku niemu głowę.

- Gdzie się pan tego nauczył?

- W Nowym Jorku, wychowałem się tam. Ciekawość chłopca wzrosła.

- I bił się pan kiedyś?

- Dwa razy. Musiałem, napadli mnie. Joe omal nie podskoczył na siedzeniu.

- Naprawdę?

- W Nowym Jorku to normalne - wyjaśnił obojętnie Dane.

- I co im pan zrobił?

- Ważniejsze, czego oni mi nie zrobili. - Dane wzruszył ramionami. - Jeden miał nóż i chciał mi zabrać portfel.

Przyblokowałem go, a jego koleś, co chciał mi zerwać zegarek, kopnąłem w jaja.

Katem oka zauważył błogi uśmiech na twarzy chłopca.

- Uważam - ciągnął - że nie wolno nikogo bić, ale każdy ma prawo do samoobrony. Człowiek na to przygotowany rzadziej spotyka się z zaczepkami, bo siła rodzi szacunek.

Joe wskazał mu drogę i zajechali pod ranczo. Posiadłość była doskonale utrzymana, w zagrodzie stały konie. Ciekawe, gdzie znajduje się pracownia Marii?

Nie zdążyli zapukać, bo w drzwiach ukazała się Carmella.

- Co się stało? - spytała z niepokojem.

- Nic takiego - odparł Joe, szybko wchodząc do środka. - Nie pozwól, żeby cię nastraszył.

Dane w krótkich słowach wyjaśnił jego matce, co zaszło w szkole.

- Musi pani zwrócić uwagę, czy nie wymiotuje albo czy ma jakieś zakłócenia równowagi. W razie czego trzeba go natychmiast wieźć do szpitala w Albuquerque.

Carmella długo mu się przypatrywała. Była drobniejsza od córki, ale silna i mocno zbudowana. Jej ciemne oczy przenikały go na wylot.

- Dziękuję, że pan go przywiózł. Nie musiał pan. Zanim zdążył odpowiedzieć, dwie małe rączki chwyciły go pod kolana. Spuścił oczy i zamarł. Sunny!

Ile to razy Keith łapał go tak samo! Spojrzał w roześmiane oczy dziecka i poczuł, jak ostrze bólu tępieje. Wziął dziewczynkę na ręce.

- Co dzisiaj robiłaś?

- Bawiłam się. Zaglasz ze mną? Roześmiał się.

- Bardzo bym chętnie z tobą zagrał, ale muszę wracać do przychodni, gdzie pracuje twoja mama. Mamy dziś dużo pacjentów.

Odstawił dziecko na podłogę i poczuł na sobie baczny wzrok Carmelli.

- Chciałabym pana zaprosić w niedzielę na lunch. To bardzo miło z pana strony, że odwiózł pan naszego syna.

- Naprawdę nie ma o czym mówić.

- Będziemy mogli lepiej się poznać. Pracuje pan z naszą córką...

Nie ulegało wątpliwości, że chcą się dowiedzieć, co to za facet kręci się koło Marii.

- W takim razie dziękuję. - Nie mógł nie podjąć wyzwania. - Już mi się znudziła własna kuchnia. O której mam przyjść?

- Około dwunastej.

Opuścił ranczo, nie będąc pewien, czy dobrze zrobił, przyjmując zaproszenie.

Po powrocie do przychodni zaszedł najpierw do gabinetu. Natychmiast napotkał wielkie czarne oczy Marii.

- Dzwoniła mama - oznajmiła z niepokojem. - Mówiła, że Joe miał wypadek. Czy to naprawdę nic poważnego?

- Właśnie opuściłem ranczo twoich rodziców... Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Dokładnie piętnaście minut temu. Moja mama nie traci czasu. Joe nie chciał jej powiedzieć, co się właściwie stało. Może ty to wiesz?

- Jak to zwykle między chłopakami... Spojrzała na niego podejrzliwie.

- I tak mi powie. Mamie mógł nie chcieć mówić, ale mnie powie.

Dane nie podzielał jej pewności i jego milczenie stało się wymowne.

- To miało jakiś związek ze mną? - zapytała domyślnie. Dane przysiadł na brzegu biurka.

- Będzie lepiej, jeśli nie będziesz się dopytywać. Maria wzruszyła ramionami.

- Nie bądź taki rycerski. Nie zapominaj, że jestem kobietą, lekarzem i rozwódką, a w moich żyłach płynie indiańska krew. To trwała kombinacja. Zresztą do pewnych rzeczy zdążyłam się już przyzwyczać.

Zrozumiał, co chce mu zakomunikować, i zapytał:

- Gdzie teraz przebywa ojciec Sunny?

- W Afryce.

- Kiedy na festynie Clara Harrihan wspomniała coś o Afryce, myślałem, że żartuje.

- Nie, to prawda. Tony wyjechał, bo chciał rozszerzyć swoje horyzonty. Z początku pragnął, żebym mu towarzyszyła. Ja jednak okazałam się zbyt związana z rodziną. Strasznie za nimi tęskniłam podczas studiów.

- Tony nie pochodził stąd?

- Nie, był z Montany. Jego rodzina często się przemieszczała, a on bardzo to lubił. Nie znał Nowego Meksyku i z początku był zachwycony. A potem zaczął się nudzić.

- Co go tak znudziło? Miasteczko czy małżeństwo? Stworzyła taką atmosferę, że mógł bez ogródek o to pytać.

- Myślę, że Red Bluff. Byłam wściekła, że postanowił wyjechać, nie pytając mnie o zdanie. W cztery miesiące po jego wyjeździe dostałam papiery rozwodowe.

- Bardzo cię to zaskoczyło?

- To był szok. Zdałam sobie sprawę, że bardzo go kocham. Ktoś mi poradził, żebym pojechała do Afryki ratować małżeństwo, i zrobiłam to.

Czy będzie mówiła dalej, zależało tylko od niej. Dane o nic więcej nie pytał, widząc ból w jej oczach i wysiłek, z jakim ciągnęła swą opowieść.

- Po przyjeździe wydawało mi się, że wszystko da się naprawić, ale po pierwszej nocy okazało się, że Tony kogoś ma i... jest w ten związek bardzo zaangażowany. Nic go nie obchodziło nasze małżeństwo, może nigdy nie było dla niego ważne... Wróciłam do domu, a po sześciu tygodniach okazało się, że jestem w ciąży. Smutno pokręciła głową.

- Dla niego to nie miało znaczenia. Nie chciał tego dziecka i zaproponował mi aborcję. On, lekarz! Powiedział, że nie zamierza ponosić odpowiedzialności ani płacić alimentów. Nigdy go o nic nie prosiłam.

W jej zgnębionym głosie usłyszał rozgoryczenie. Pod maską spokoju i opanowania Marii kryło się cierpienie. Ujął jej dłonie.

- Twój mąż był idiotą. Nie wyobrażam sobie, że można odrzucić taki dar niebios jak Sunny.

W oczach Marii zalśniły łzy i nie wiedział, co je wywołało. To, co właśnie powiedział, czy wspomnienia...

Gorąco zapragnął wziąć ją w ramiona i pocałować, ale wiedział, że to nie jest dobry moment. Oboje są zbyt poranieni i mógłby tylko wszystko pogorszyć.

Puścił jej dłoń i wstał.

- Lepiej pójdę do pacjentów. Spojrzała na niego pytająco.

- Mojemu bratu nic nie będzie?

- Twoja matka ma obserwować, czy nie wystąpią objawy wstrząsu mózgu, ale sądzę, że wszystko będzie dobrze.

- Powiedziała mi, że zaprosiła cię na niedzielny lunch. Dane ruszył ku drzwiom.

- Tak - odparł, przystając - ale nie wiem, czy to dobry pomysł.

Próbowała zamienić to w żart.

- Jeśli przyjdiesz, ubawisz się jak nigdy. Mam bardzo hałaśliwą rodzinę.

Dane był śmiertelnie poważny; dla niego lunch w rodzinnym gronie oznaczał kolejny szczebel wtajemniczenia, a jeszcze nie miał pewności, czy aby na pewno chce go dostąpić.

- Zostawiłaś z nim Elizabeth na całe popołudnie? Allison, ulubiona pacjentka Marii, uśmiechnęła się z dumą. Zanim kilka tygodni temu urodziła córeczkę, pracowała w przychodni jako pielęgniarka.

- Zajmie się nią? - pytała dalej Maria. Allison roześmiała się.

- Mało powiedziane! Przez cały czas będzie ją nosił i przytulał.

Maria wpisała coś do karty i znowu podniosła głowę.

- Jest jeszcze bardzo mała, na pewno jej nie rozpuści. Z mężem Allison, szeryfem McGraw, przyjaźniła się od lat; był dla niej wielką podporą w trudnym czasie po powrocie z Afryki. Allison kiedyś nawet podejrzewała, że łączy ich coś więcej. Teraz od prawie trzech lat ona i Jase byli małżeństwem.

- Jase jest wspaniały. - Allison odrzuciła z czoła jasny kosmyk i dodała: - Trochę tylko trudno znosi to, że od czasu, jak Elizabeth się urodziła, my jeszcze nie...

Zaczerwieniła się i urwała. Maria zrozumiała, że takiej damie jak Allison musi być bardzo trudno mówić o sprawach seksu nawet z własnym lekarzem.

- Teraz z małą będzie coraz mniej kłopotu i na pewno znajdziecie czas dla siebie - pocieszyła ją. - Przekonasz się, czy jesteś gotowa.

- Jestem, na pewno - szepnęła Allison i spuściła głowę.

- Może potrzebna ci opiekunka do dziecka? - Maria uwielbiała zajmować się dziećmi. - Chętnie służę.

- Mówisz poważnie? - Allison zrobiła wielkie oczy.

- Pewnie.

- Gloria Torres proponowała mi, że się nią zajmie, ale nie wiem, czy Jase się zgodzi na obcą osobę.

Maria miała już gotowy plan,

- W środę po pracy będę miała wolne, możesz mi ją podrzucić. Dajesz jej już butelkę?

- Tak, jako dodatek.

- W takim razie przywieziesz ją do mnie i będziecie mieli wolne całe popołudnie i wieczór.

Allison omal nie podskoczyła do góry.

- Cudownie! Na pewno ci to w niczym nie przeszkodzi?

- Na pewno.

- Sunny się nie pogniewa?

- Jeszcze mi pomoże. Jest przyzwyczajona do niemowląt, mamy ich w rodzinie sporo. Porozmawiaj o wszystkim z mężem i potem zadzwoń do mnie.

Allison podniosła torbę z podłogi, szykując się do wyjścia.

- Jak ci się pracuje z tym nowym lekarzem? - zapytała jeszcze.

- Pacjenci bardzo go lubią - odparła Maria wymijająco.

- A ty?

- Ja też. Może nawet za bardzo. Allison przechyliła głowę.

- Jesteś nim zainteresowana?

- Powiedzmy, że jest między nami jakaś chemia... - odparta Maria w zadumie - ale odgradza nas od siebie mur, zwłaszcza z jego strony, a ja też nie wiem, czy jestem gotowa na coś poważnego.

Allison pochyliła się nad nią.

- Zaslugujesz na szczęście, zasługujesz na kogoś wyjątkowego. Nie powinnaś się bać. Wiem, jak to paraliżuje, przecież ja też omal nie straciłam Jase'a. Bałam się spróbować jeszcze raz.

- Jase nigdy nie pozwoliłby ci odejść.

- Nie wiem... W sprawach uczuciowych wszyscy jesteśmy delikatni i przewrażliwieni. Bardzo jest łatwo popełnić błąd i pozwolić, żeby szczęście wysliznęło nam się z rąk.

Maria wszystko to wiedziała, ale Dane?

- Masz rację, Allison. Może rzeczywiście zabrakło mi odwagi.

Jej rozmówczyni spojrzała na nią znacząco.

- Jesteś najodważniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałam - oświadczyła. - Musisz tylko zdecydować, czego naprawdę chcesz. Potem wszystko pójdzie jak z płatka.

Ucałowały się serdecznie.

- Zadzwoń i powiem, co z tą srodą. - Allison odwróciła się w progu i pomachała ręką na pożegnanie.

Maria odłożyła jej kartę i z radością pomyślała, że są na świecie tacy ludzie jak szeryf i jego żona, szczęśliwi jak w bajce.

W niedzielę Dane czuł się dość niezręcznie, kiedy go przedstawiano całej licznej rodzinie Marii. Musiał poznać wszystkich jej braci i siostry, siostrzenice i bratanków, a nawet kilku kuzynów.

Kiedy po niego przyszła, miał ochotę stchórzyć i czymś się wymówić, ale kiedy na nią spojrzał...

Maria wyglądała jak anioł, a Sunny jak amorek, i pomyślał, że przynajmniej sobie na nie popatrzy, zamiast spędzić kilka godzin przed telewizorem w pustym mieszkaniu.

Zresztą niczym nie ryzykuje. Na łonie rodziny, wśród tylu świadków, nic im nie grozi.

Potem, siedząc za stołem na patio i słysząc paplaninę dzieci i gwar rozmów dorosłych, czuł się obco, niczym intruz, przypadkiem wplątany w towarzystwo związanych ze sobą i serdecznie zżytych ludzi.

W pewnej chwili Maria przysunęła się do niego.

- Co ty na to? - zapytała figlarnie. - U nas tak co tydzień. Okropne, co?

Roześmiał się.

- Przyznam, że nie jestem przyzwyczajony. Ellen była jedynaczką. Jej rodzice od dawna nie żyją, a moi mieszkają bardzo daleko, więc zawsze byliśmy sami. Takie rodzinne spotkanie to dla mnie nowość.

Wesoło potrząsnęła głową.

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Ręką wskazał potrawy stojące na stole.

- Każdy coś przyniósł?

Zauważył, że Maria przyjechała z paczkami i potem coś odgrzewała w piekarniku.

- Tak, zawsze się umawiamy, kto co przygotowuje.

Dane rozejrzał się.

- Cudowne miejsce.

Jej oczy zrobiły się łagodne i wilgotne i widać było, że bardzo ją wzruszył.

- Tu jest mój prawdziwy dom. Mieszkamy z Sunny w mieście - wyjaśniła - ale nie wyobrażam sobie życia bez tego tutaj. Dlatego nie mogłam zostać w Afryce, nie mogłabym istnieć nigdzie indziej. Ta ziemia dała mi siły, kiedy ich najbardziej potrzebowałam.

- Jesteś szczęśliwym człowiekiem - rzekł poważnie.

- Wiem, i co dzień dziękuję za to Bogu.

Objął ją i po raz pierwszy oprócz podniecenia poczuł, jak ogarnia go uczucie spokojnego szczęścia, takiego, za które można dziękować Bogu.

Spostrzegł wzrok Carmelli i zrozumiał, że matka Marii cały czas ich obserwuje, a może nawet słyszy ich rozmowę.

- Córka powiedziała mi, że straciłeś w wypadku żonę i synka - odezwała się ze współczuciem Carmella.

Nie był przyzwyczajony do podobnej bezpośredniości, ale jej szczerość go ujęła.

- Mamo... - zaczęła ostrzegawczo Maria.

Położył dłoń na jej ręce.

- Wszystko w porządku. - Zwrócił się do Carmelli. - Tak. W grudniu miną dwa lata.

- Ile lat miał twój syn?

Nagle zrozumiał, że pragnie z nią o tym mówić.

- Keith miał pięć lat, właśnie zaczął chodzić do przedszkola. Bardzo szybko rósł, w ciągu tygodnia przybywał mu jeden centymetr.

Wzrok Carmelli powędrował ku splecionym rękom gościa i córki.

- Chyba czas na deser. Maria wstała.

- Poproszę Ritę o przypilnowanie Sunny i pokażę Dane'owi swoją pracownię.

- Widziałeś już prace Marii? - zapytała Carmella. Dane skinął głową.

- Tak, na festynie. Bardzo bym chciał zobaczyć więcej. Maria z uśmiechem pociągnęła go za rękę.

- No to chodź. Pogadam z Ritą i porwę cię do mojej nory.

W chwilę potem szli przez podwórze w ostrym słońcu, a upał rozpalał ich ciała. Maria zwróciła ku niemu ciemne oczy.

- Przepraszam cię za pytania mojej mamy... Pomyślał, że Maria nigdy nie robi nic, za co musiałaby przeproszać.

- Zawsze unikałem rozmów o swoim synku, bo bałem się cierpienia, ale tym razem poczułem tylko dobrą moc wspomnień.

- Czy to dotyczy również twojej żony?

- Nie wiem. Ellen... Zamilkł.

- Byliście dobrym małżeństwem? - zapytała po chwili.

- A masz jakąś definicję? Przystanęła i bacznie na niego spojrzała.

- Nie z własnego doświadczenia, jak rozumiesz. Kiedy Tony mnie opuścił, zrozumiałam, że łączyły nas tylko złudzenia. Wspólne pochodzenie, ten sam zawód... Myśleliśmy, że to wystarczy, ale tak się nie stało. Nie mogliśmy żyć razem. Wiesz, co mam na myśli, prawda?

Przypomniał sobie Ellen i to, jak niewiele czasu spędzali razem.

- Poznaliśmy się na nartach, oboje uwielbialiśmy jazdę na nartach. Pochodziliśmy z tego samego środowiska, ale mój zawód nas rozdzielał.

- Rozumiała cię?

- Nie wiem, czy to było zrozumienie, czy raczej rezygnacja, a to wielka różnica. Wielka różnica - powtórzył, myśląc tym razem o tym, co dzieliło od siebie te dwie kobiety: Ellen i Marię.

W pracowni panował chłód; temperaturą i niskim owalnym sklepieniem przypominała piwnicę.

- Oto moja kryjówka. - Maria powiodła ręką wokół. Dane rozejrzał się. Koło garncarskie, noże, szczotki, ścierki i pojemnik z wodą. Na ścianach półki, pełne glinianych garnków w różnym stadium „rozwoju”. Niektóre tylko wypalone, inne - pomalowane. Maria podeszła do koła.

- To byłaby doskonała terapia dla twojej ręki - nadmieniła mimochodem.

Od dnia badania nigdy więcej nie wspomniała o fizykoterapii, a Dane był zbyt zajęty, żeby się tym interesować. Teraz też nie zwrócił na to uwagi.

- Dużo czasu tutaj spędzasz? - spytał zamiast tego.

- Prawie całe niedziele.

Dotknęła stołeczka stojącego przy kole.

- Sunny nieraz mi pomaga. Dane roześmiał się.

- Odziedziczyła talenty artystyczne?

- Na razie tylko z zachwytem maże się gliną - uściśliła Maria - ale z czasem, kto wie...

Opuścili pracownię i zbliżyli się do zagrody, gdzie stały konie.

- Mógłbym je obejrzeć? - zapytał Dane.

- Nie wiedziałam, że to cię interesuje. Jeździsz konno?

- Maria nieco się zdziwiła.

- Obok naszego domu w Connecticut była stadnina. Często wynajmowałem tam konie.

Szara klacz rasy appaloosa podeszła do płotu i zwróciła chrapy w jego stronę. Podeszedł do niej wzruszony; tak dawno nie jeździł konno i bardzo za tym tęsknił.

Poklepał konia po szyi.

- Ale jesteś piękna...

- Należy do mnie - oznajmiła Maria. - Kiedy nie mam czasu, jeździ na niej Joe.

Spojrzał na nią i na jej klacz. Obie były takie piękne i tak cudownie wolne. Długie falujące włosy Marii i rozwiana grzywa konia miały ze sobą coś wspólnego; niemal poczuł na twarzy pęd i woń wiatru.

- Jeździłaś kiedyś bez siodła? - zapytał bezmyślnie. Jechał tak tylko raz i stale jeszcze pamiętał niezwykle doznanie.

Twarz Marii nagle spochmurniała.

- Tak jak Indianie? - zapytała nieprzyjaznym głosem, zupełnie jakby chciał ją obrazić.

- Nie miałem na myśli nic złego - zaczął się tłumaczyć.

- Po prostu wyobraziłem sobie ciebie konno jako obraz swobody i wolności. Nie chciałem zrobić ci przykrości.

Milczała, ale nie odwracała od niego wzroku.

- Mam w sobie indiańską krew, a ty jesteś biały - oświadczyła po chwili dobitnie. - Bardzo mi przykro, ale stale jeszcze istnieją pewne stereotypy...

- I myślisz, że ja tak właśnie rozumię? Stereotypami?
Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

Lekko dotknął jej zaczerwienionego policzka i odgarnął z niego włosy.

- Dla mnie jesteś po prostu bardzo piękną kobietą. Wiatr sprawił, że fala jej włosów musnęła mu twarz i poczuł ich niezwykle zapach.

- Zapraszamy na deser!

Dane odwrócił się i ujrzał ojca Marii.

- Ma pan wspaniałą posiadłość - powiedział, szybko się opanowując.

Thomas Eagle wyprostował się dumnie.

- Należy do nas od trzech pokoleń. Ziemia i tradycja są dla nas bardzo ważne, panie doktorze.

To obojętne zdanie zabrzmiało jak ostrzeżenie.

- Doskonale rozumiem - przytaknął Dane.

Widział w oczach starego człowieka lęk przed przybyszem nie wiadomo stąd, który zagraża spokojowi jego córki. Przed przybłądą, który nigdzie nie zagrzeje miejsca.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Maria siedziała na tarasie, tuląc do siebie niemowlę. Przed chwilą położyła swoją córeczkę spać i wystawiła wózek z maleńką na powietrze. Nie mogła się powstrzymać przed wzięciem jej w ramiona.

Była piękna, spokojna, gwiazdzista noc. Maria spojrzała w gwiazdy i pomyślała, że bardzo by chciała...

Życzenie nie nadchodziło; czuła tylko, że ma jakiś związek z Dane'em. Od niedzieli widziała go jedynie w przelocie i obawiała się, że jej rodzina go spłoszyła.

Sąsiednie drzwi otworzyły się i po chwili Dane stanął przy niej pod niebem pełnym gwiazd.

- Co to jest? - Palcem wskazał dziecko Allison i Jase'a.

- Bawię się w opiekunkę - odparła spokojnie.

- To chłopiec czy dziewczynka? - Dane z zainteresowaniem przyjrzał się dziecku.

- To Elizabeth, ma siedem tygodni. Jej rodzice mają dzisiaj pierwszy wolny wieczór, ale coś mi się wydaje, że długo nie wytrzymają bez swojego skarbu i nie wykorzystają należycie podarowanego im czasu.

Dane nie spuszczał wzroku z maleńkiej istotki.

- Doskonale to rozumiem.

- Co robiłeś po południu? - zapytała ciekawa, jak spędził wolny czas.

- Pojechałem do Albuquerque, trochę zwiedzałem, a potem poszedłem do sklepu z twoimi wyrobami garncarskimi.

- Skąd wiedziałeś, który to jest?

- Twoja mama mi powiedziała. Coś nawet kupiłem.

- A co?

- Chodź zobacz.

Z dzieckiem w ramionach udała się za nim do jego mieszkania. Obok regału z książkami stał wielki dzban pełen suszonych roślin.

- Dobrze to wygląda z tymi kwiatami - oceniła Maria.
- Właściciel sklepu tak to ustawił i kupiłem całą kompozycję.

Wiedziała, że dzban był bardzo drogi.

- Nie musiałeś kupować, zrobiłabym ci coś sama.
- Kiedy go zobaczyłem, nie mogłem się powstrzymać - wyznał jak mały chłopiec, który właśnie stłukł skarbonkę, żeby zaspokoić kaprys.

Maria roześmiała się.

- Zawsze tak spontanicznie wydajesz pieniądze? Dane spoważniał.

- Zawsze tak właśnie żyłem... dawniej.

- I będziesz tak żył znowu, zobaczysz.

Wierzyła w to. Taki człowiek jak on nigdy się nie poddaje. Fakt, że przeniósł się do Red Bluff, świadczy o tym, że podjął walkę z losem.

Elizabeth zaczęła kwilić, dopominając się o jedzenie.

- Muszę jej dać butelkę - oświadczyła Maria. - Wpadnij do mnie za chwilę, jeszcze porozmawiamy. Nie mogę na długo zostawiać Sunny samej.

- Dobrze - zgodził się. - Chcę ci coś pokazać. Przeszła z płaczącym dzieckiem na swoją stronę tarasu, włożyła je do wózka i zawiozła do salonu. Potem weszła do kuchni, by przygotować mleko. W pewnej chwili płacz umilkł. Wróciła do salonu i ujrzała Dane'a z niemowlęciem w ramionach.

- Strasznie płakała, nie mogłem tego słuchać - wyjaśnił łagodnie.

Ten człowiek, który tak „nie lubił” dzieci, był niezwykle wrażliwy na ich płacz... W jego oczach dostrzegła wielką czułość i wielki ból.

Poszła do kuchni po ciepłą butelkę i podała mu ją.

- Nakarmisz Elizabeth?

Ból w jego oczach stężał i Dane oddał dziecko Marii.

- Wiem - szepnęła - że widok dzieci sprawia ci przykrość. Musiałeś w niedzielę przejść ciężkie chwile u moich rodziców.

Jej rodzeństwo miało do spółki dziesięcioro dzieci... Dane uśmiechnął się blado.

- Nie było tak źle. W niedzielę wydarzyło się tyle różnych rzeczy. Zauważyłem, że twoi rodzice nie są zachwyceni naszą... - przez chwilę szukał właściwego słowa - znajomością.

- To jest tylko... znajomość?

- Na to wygląda.

Spojrzeli sobie w oczy i zobaczyli namiętność tak wielką, że trudno ją było przypisać zwykłej... znajomości.

Maria mocniej przytuliła niemowlę, zasłaniając się nim, i przysiadła na kanapie.

- Muszę ją nakarmić.

Dopiero wtedy zauważyła leżącą na stoliku książkę.

- Co to takiego?

- Znalazłem ją w antykwariacie w Albuquerque. Jest uszkodzona, nie ma strony tytułowej.

Otworzył książkę na pierwszej stronie i podsunął Marii przed oczy.

- To pamiętnik! - mruknęła, nie przestając karmić małej.

- Tak, spójrz na datę.

- Boże! 1850 rok! Czytałeś to?

- Właśnie zacząłem. To zapiski niejakiego Richarda Chaplaina, który pociągiem przejechał Stany Zjednoczone z żoną i dwiema córkami. Zamierzali dotrzeć do Kalifornii, ale zatrzymali się tutaj.

- I tak po prostu leżało to w antykwariacie?

- Tak, na półce z używanymi książkami - przytaknął.

- Przecież to się powinno znaleźć w muzeum!

- Chyba tak. Kiedy skończę, zastanowię się, co zrobić. To naprawdę fascynująca lektura.

- Pożyczysz mi, kiedy skończysz?

- Oczywiście.

Ich spojrzenia spotkały się znowu.

Siedzieli na kanapie, niemal stykając się łokciami i czując, jak przez ich ciała płynie prąd. Wiedziała, że Dane zaraz ją pocałuje, i chyba chciał to zrobić, ale powstrzymał go dźwięk, jaki wydawało ssące butelkę niemowlę.

Wyraz twarzy Dane'a zmienił się. W jego oczach pojawił się niepokój. Odwrócił oczy i wstał.

- Lepiej już pójdę, miałem jeszcze coś przeczytać.

- Ten pamiętnik? - zapytała ze smutnym uśmiechem.

- Nie, czasopismo medyczne - odparł, kierując się ku drzwiom wiodącym na taras. - Zobaczymy się jutro.

- Dobranoc - szepnęła za nim.

Została sama z dzieckiem w ramionach i pustką w sercu. Mógł ją wypełnić jedynie Dane, ale nie był gotów.

Zamierzał właśnie wziąć się za uzupełnianie kart pacjentów, kiedy do gabinetu wpadła Joan.

- Panie doktorze, nagły wypadek, Frank Nightwalker zranił się siekierą!

- Zaprowadź go do zabiegowego.

W chwilę potem był już przy rannym. Frank Nightwalker miał długie włosy spięte w kitkę, indiańskie rysy i śmiertelnie bladą twarz.

- Kiedy ostatnio szczepił się pan przeciwko tężcowi? - zapytał lekarz.

- Cztery lata temu.

- Jak to się stało?

- Wycinałem drzewa, siekiera się ześliznęła i...

Na pierwszy rzut oka było oczywiste, że rana wymaga zszycia. Równie oczywiste było to, że tylko w pełni sprawne

ręce chirurga będą mogły tego dokonać. Prawa ręka Dane'a jeszcze się do tego nie nadawała.

- Poproś Marię - zwrócił się do pielęgniarki.

W pół godziny później siedział za biurkiem, przeżywając gorycz porażki. Fakt, że musiał prosić o pomoc innego lekarza, upokorzył go i wyprowadził z równowagi. Zrozumiał, że zerwanie z chirurgią wcale nie oznacza braku konieczności usprawnienia prawej ręki.

Przyjrzał jej się uważnie, poruszył zeszywniałymi palcami. Znowu ujrzał przed sobą ośnieżoną drogę i światła samochodu, usłyszał huk zderzenia i przypomniał sobie, jak w szpitalu próbował poruszyć sparaliżowaną dłoń. Nie słuchała go przez długie miesiące.

Teraz siedział za stołem i wypełniał papierki. Nadawał się tylko do tego, przestał być prawdziwym lekarzem, on, który jeszcze tak niedawno miał do dyspozycji najlepszy specjalistyczny sprzęt i wysoko wykwalifikowany personel. A przecież pacjenci go potrzebują!

Ze złością uderzył chorą ręką w biurko i niemal w tej samej chwili usłyszał cichy głos Marii.

- Fizykoterapia na pewno by ci pomogła... Spojrzał na nią i jej uroda przygnębiła go jeszcze bardziej.

- Nie pytałem cię o zdanie - burknął. Spokojnie podeszła do biurka.

- Nie, ale potrzebujesz rady. Możemy zacząć jutro rano.

- Przecież musisz odwieźć Sunny do matki.

- Mama nie zdziwi się, jeśli ją przywiozę pół godziny wcześniej.

- Nawet kiedy się dowie dlaczego?

- Na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, że chcę ci pomóc.

- Nie wiem...

- Wiesz dobrze. Spotkamy się jutro o wpół do ósmej i nie chcę słyszeć słowa sprzeciwu.

Odwróciła się i poszła do pacjentów, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Pochylił się więc nad biurkiem i przez kolejne dwie godziny starannie wypełniał karty lewą ręką.

Tego wieczoru zjadł kolację w Cantinie, pojechał do domu i zagłębił się w lekturze dzienników Richarda Chaplaina.

W dawnych czasach życie było może trudniejsze, ale o ileż prostsze... Przed snem zamierzał jeszcze zadzwonić do Marii, żeby odwołać jutrzejsze spotkanie, ale w porę spojrzął na swoją rękę i przypomniał sobie Franka Nightwalkera. Zrozumiał, że nie ma wyjścia: albo jego ręka odzyska sprawność, albo on przestanie być lekarzem.

W piątek rano dotarł do przychodni przed Marią, a usłyszawszy jej kroki, wyszedł jej na spotkanie.

Miała na sobie džinsy, kolorową bluzkę i wspaniałą naszyjnik z koralami i turkusów. Włosy spięła turkusową wstążką.

Wołałby ją pocałować, niż dyskutować o rehabilitacji.

- Od czego zaczynamy? - zapytał nerwowo.

- Poczekaj chwilę, wszystko przygotowuję.

Nie wiedział, co zamierza przygotować, i niecierpliwie dreptał po gabinecie, czekając, aż go wezwie.

Wreszcie zawołała go do zabiegowego. Najpierw raz jeszcze o wszystko go wypytała i starannie zbadała rękę, kazała poruszyć po kolei wszystkimi palcami i uważnie przyjrzała się nadgarstkowi. Potem wskazała mu naczynie.

- Tu jest rozgrzana parafina. Włóżysz do niej rękę, a ona przylgnie jak rękawiczka. Posiedzisz tak jakiś kwadrans, a potem trochę rozruszam dłoń. Dobrze?

- Wiesz, co robisz - odparł naburmuszonym głosem. Poszła do siebie, a Dane został sam, z ręką oblepioną białawą skorupą ułożoną na ręczniku, czekając na zbawienne działanie

parafiny. Próbował czytać jakieś medyczne pismo, ale nie bardzo mógł się skupić.

Po piętnastu minutach zjawiała się Maria, usiadła obok i delikatnie ujęła jego rękę. Usunęła parafinę i zaczęła poruszać jego palcami. Ze zdumieniem zauważył, że są o wiele mniej sztywne. Maria masowała mu palce i wierzch dłoni; jej skóra była ciepła i gładka jak jedwab. Czy dotykanie jego ręki sprawia jej taką samą zmysłową przyjemność jak jemu?

Maria uniosła wzrok i ich oczy spotkały się.

- Na dzisiaj chyba wystarczy - powiedziała.

- Skoro tak mówisz... Nie odwróciła wzroku.

- Kiedy skończymy, dam ci trochę masy do ugniatania. Będiesz mógł ćwiczyć mięśnie wieczorem w domu. Pokażę ci, jak to robić.

- Sam na pewno nie osiągnę takiej precyzji... - Jego wzrok zatrzymał się na jej ustach.

Maria głęboko odetchnęła.

- Dane... Przerwał jej.

- Czy wiesz, że masz najpiękniejsze usta na świecie? Przechyliła głowę łagodnym gestem, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że w niczym jej to nie pomogło. Ale Dane miał już dość wegetacji, miał dość życia, które nie było życiem! Chciał znowu poczuć radość, a Maria cała była radością. Wysunął rękę z jej dłoni i łagodnie musnął jej policzki, czoło, przymknięte powieki. Jego zmartwiała dłoń pulsowała nowymi sokami, jakby cudem przywrócona do życia. Czuł, jak budzi się w nim nadzieja, a świat odzyskuje utracone barwy.

Maria bez sprzeciwu poddawała się jego pieścizocie. Tego dnia rano zbliżyła się do niego jak do pacjenta. Teraz miała przed sobą mężczyznę swoich marzeń. Metamorfoza dokonała się zbyt szybko. Jego dłoń przestała być dłonią pacjenta, a ona przestawała być jego lekarzem.

Dzieliło ich wszystko: pochodzenie, przeszłość, doświadczenia. Łączyła ślepa, głucha na wszystko namiętność.

Gdyby go teraz odepchnęła, odrzuciłaby najwspanialszy dar, jaki kiedykolwiek otrzymała.

Całował ją cudownie, namiętnie i władczo. Wstali oboje, żeby móc przyłgnąć do siebie całym ciałem. Kiedy jednak poczuła jego ręce na piersiach, odsunęła się. Wiedziała, że Dane szuka tylko chwilowego zaspokojenia.

Jej to nie wystarczało.

Zrozumiała, że od rozwodu nie spotykała się z żadnym mężczyzną, bo bała się, że postąpi tak jak Tony. Kiedy mąż ją porzucił, ziemia zadrżała jej pod nogami. Gdy odrzucił ich dziecko, rozwarła się przed nią otchłań. Kiedy zaś wybrał zawodową karierę zamiast niej, zrozumiała, że ich związek nigdy nie miał dla niego znaczenia. Zastąpił ją inną kobietą z łatwością, która ją przeraziła.

Każdy mężczyzna może tak postąpić.

- Co się stało? - chciał wiedzieć Dane.

- To nie jest właściwy moment. Możemy się pomylić. My się prawie nie znamy.

Jego twarz drgnęła.

- Ja ciebie znam.

- Nawet nie wiesz, z iloma facetami spałam po rozwodzie - zaczęła zaczepnie, ale Dane nie podjął walki.

- Wiem dobrze, że nie miałaś nikogo - rzekł spokojnie.

- Tak - przyznała. Dane uśmiechnął się.

- No to sobie wszystko wyjaśniliśmy. Wysunęła się z jego ramion.

- Niczego sobie nie wyjaśniliśmy. Już ci mówiłam, mnie nie chodzi o przelotny romans.

Patrzył na nią w milczeniu.

- A nie wiem, czy oboje - ciągnęła z wysiłkiem - jesteśmy gotowi na coś więcej. W każdym razie nie zamierzam rozszerzać gamy zabiegów w tym gabinecie...

Nieco za późno ugryzła się w język. Twarz Dane'a zrobiła się chłodna i nieprzystępna.

- W porządku, zapamiętam.

Złękła się, że zrezygnuje z ratowania ręki.

- Umówimy się na kolejne spotkanie? - zapytała niepewnym głosem, obawiając się, że odmówi.

Nic takiego jednak nie nastąpiło.

- Owszem, trzeba przyznać, że bardzo mi pomogłaś. Powtórzmy to jeszcze kilka razy, żeby się przekonać, czy to tylko chwilowa poprawa, czy coś bardziej trwałego.

Ze smutkiem popatrzyła mu w oczy.

- Najważniejsze to mieć pewność, czy to tylko chwilowe, czy coś bardziej trwałego... - powtórzyła.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Wolisz, żebyśmy się tu spotykali rano czy po pracy? - zapytał w końcu Dane.

- Lepiej byłoby rano - odparła takim samym tonem.

- Po pracy muszę jechać po Sunny. - Przez chwilę nad czymś się zastanawiała. - W niedzielę wybieram się na ranczo - dodała po namyśle. - Mógłbyś przyjechać i poćwiczyć trochę na kole garncarskim. To też byłoby dobre dla twojej ręki.

- Zastanowię się, a teraz muszę iść do pacjentów.

Uśmiechnęła się, jakby cała ta rozmowa była tylko uprzejmą wymianą zdań. Kiedy wyszedł, opadła na krzesło, z trudem łapiąc powietrze.

Stało się to, czego najbardziej się obawiała. Zakochała się! Kochała Dane'a i nie miała pojęcia, co z tym uczuciem zrobić.

Opuścił przychodnię o wpół do siódmej; Maria wyszła godzinę wcześniej. Pozostał po niej tylko lekki zapach perfum.

Już to wystarczyło, żeby wprowadzić go w stan podniecenia, którego nie mógł pojąć. Jak to się dzieje, że ta kobieta tak silnie na niego działa? Czy pragnie jej tak bardzo tylko dlatego, że nie może jej mieć? Czy może przeczuwa, że jeśli się z nią zwiąże, nareszcie znajdzie w życiu sens?

Na parkingu ktoś go zawołał i zza drzew wyłonił się Joe Youngbear.

- Maria już wyszła - poinformował go Dane.

- Nie przyszedłem do niej, tylko do pana - wyznał zmieszany chłopiec.

Dane zaniepokoił się.

- Masz jakieś dodatkowe objawy po tym urazie?

Brat Marii przecząco pokręcił głową.

- Nie, wszystko w porządku. Chciałem... chciałem tylko... mówił pan, że... no, o tej samoobronie.

Dane spojrzał na niego z powagą.

- Sądzisz, że ci się przyda?

- Nie wiem... Trevor i jego banda stale mnie zaczepiają. Chciałbym się przygotować, na wszelki wypadek.

Dane skinął głową.

- Rozumiem, ale musisz wiedzieć, że nieraz walka niczego nie załatwia. Może nawet pogorszyć sprawę.

- Wiem - odparł Joe. - Ale chciałbym, żeby mnie szanowali.

Doskonale rozumiał chłopca. Poczucie siły dawało człowiekowi pewność siebie, a ta wzbudzała respekt.

- Musiałbyś poćwiczyć...

- Będę ćwiczył.

- Byłoby dobrze, gdybyś miał partnera. Joe spojrzał na niego z prośbą w oczach.

- Takiego jak pan?

Nie mógł odmówić bratu Marii.

- Takiego jak ja. Dam ci kilka lekcji, a potem znajdziesz sobie jakiegoś kolegę. Kiedy chciałbyś zacząć?

- Może teraz? Powiedziałem rodzicom, że idę się spotkać z przyjaciółmi, ale spotkam się z nimi później.

- Jedziemy do mnie? Joe zawahał się.

- Wolałbym, żeby Maria nie widziała. Nie moglibyśmy poćwiczyć tutaj?

Dane pomyślał, że poczekalnia doskonale by się do tego nadawała. Wystarczy zsunąć kilka krzeseł...

- Zapłacę panu - obiecał Joe.

Dane zrozumiał, że nie może odmówić; to honorowa sprawa.

- Najpierw przekonajmy się, jak nam idzie. - Zastosował unik. - A potem pogadamy o wynagrodzeniu.

- Jest pan pewien, że teraz pan może?

- Jasne, trochę gimnastyki bardzo mi się przyda.

W dwie godziny później siedział w restauracji, jadł kolację i wspominał lekcję z bratem Marii.

Chłopak bardzo szybko się uczył. Umówili się na następny tydzień; Joe w ramach honorarium miał mu umyć samochód, kiedy Marii nie będzie w pracy.

W piątkowy wieczór Cantina świeciła pustkami; tylko gdzieś przy stolikach siedzieli stali bywalcy. Dane kończył właśnie jeść, kiedy zauważył Franka Nightwalkera w towarzystwie siwowłosej pani. Frank powiedział coś do swojej towarzyszki i podeszli do niego.

- Jak panu smakują nasze przysmaki, doktorze? - spytał z uśmiechem Frank.

- Wyśmienite - odparł Dane i jego wzrok powędrował ku przedramieniu Franka. - Wygląda pan znacznie lepiej niż ostatnim razem. Bardzo mnie to cieszy - dodał.

- Nieźle mnie nastraszył - odezwała się kobieta. Frank dokonał prezentacji.

- Doktor Cameron, nasz nowy lekarz, pracuje teraz z Marią, a to jest Gloria Torres.

- Bardzo mi miło - powiedziała Gloria. - Kiedy Frank zadzwonił i powiedział, co mu się stało, natychmiast do niego pojechałam i zawiozłam go do szpitala. Pan i doktor Youngbear bardzo mu pomogliście.

Dane lekko się skłonił.

- To zasługa głównie doktor Youngbear. Frank ponownie zabrał głos.

- Przyszliśmy dziś poświętować.

Gloria uniosła rękę i pokazała Dane'owi brylantowy pierścionek.

- Zaręczyliśmy się - oznajmiła z rozjaśnioną twarzą.

- Gratuluję.

- Jutro wieczorem wydajemy z tego powodu przyjęcie - ciągnął Frank. - Może by pan do nas wpadł. Będzie Rod, Wyatt i Maria. Jutro rano przyleci mój syn. Mieszkam po zachodniej stronie miasta, trzecie ranczo na prawo.

Perspektywa spotkania Marii wystarczyła, by z entuzjazmem przyjął zaproszenie.

- Przyjdę z przyjemnością. O której?

- Wszystkich zapraszamy na ósmą, ale może pan wpaść, kiedy pan zechce. Do zobaczenia.

Gdy odeszli od jego stolika, długo za nimi patrzył. Widział, jak Frank obejmuje Glorię, coś jej szepce do ucha i całuje w policzek. Kiedy usiedli, wzięli się za ręce.

Widok zakochanej pary nie opuszczał go, kiedy jechał do domu. Do swojego pustego domu. Tego wieczoru pustka stała się jeszcze bardziej dojmująca niż zwykle.

Wyszedł na taras. Marii na nim nie było, ale w jej sypialni paliło się światło. Wrócił do siebie i zadzwonił do niej. Natychmiast podniosła słuchawkę.

- To ja, Dane.

- Stało się coś?
- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.
- Nie, oglądałam w telewizji stary film.
- Jaki?

Zawahała się na krótką chwilę.

- „Rzymskie wakacje”. Uwielbiam Audrey Hepburn.

Ujrzał w wyobraźni jej rozrzucone na poduszce włosy.

- Spotkałem dzisiaj Franka Nightwalkera - powiedział jakby nigdy nic. - Był z Glorią Torres, zaręczyli się. Zaprosił mnie na przyjęcie. Podobno też się wybierasz. Moglibyśmy jechać razem.

Tym razem milczała nieco dłużej.

- Jak na randkę?
- Tak.

Cisza przedłużała się i poczuł niepokój.

- Mario, jesteś tam?

- Tak.

- Boisz się, co ludzie powiedzą? - zapytał.

- Nie. Jestem tylko ciekawa, dlaczego chcesz się ze mną umówić na randkę.

- Chcę cię lepiej poznać.

Znowu cisza, a potem usłyszał łagodny głos Marii:

- Ja ciebie też.

- Dobrze, w takim razie wpadnę po ciebie za piętnaście ósma.

- Za piętnaście ósma - powtórzyła.

- Dobranoc, Mario.

- Dobranoc.

Rozłączywszy się, zrozumiał, że będzie czekał na jutrzejszy wieczór bardzo niecierpliwie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Stał obok Marii na ganku domu Franka i czuł się młody i szczęśliwy. Miał obok siebie piękną kobietę w białej, lekkiej jak mgła sukience i myślał tylko o wzięciu jej w ramiona.

Frank otworzył drzwi.

- Witamy - powiedział. - Cieszę się, że was widzę. Wprowadził ich do dużego pokoju. Gloria rozmawiała właśnie z jakąś parą.

- To mój syn i synowa, Mac i Dina - wyjaśnił Frank.

Mac był bardzo podobny do ojca, z tą różnicą, że miał kruczoczarne włosy. Młodzi wstali; oboje ucałowali Marię na powitanie i widać było, że dobrze się znają.

- Bardzo często tu przyjeżdżają - wyjaśnił Frank. - Mieszkają w Maryland.

- To daleko - zauważył Dane.

Zdawkową wymianę zdań przerwała Maria, serdecznie wypytując się o Kristinę.

- To nasza córeczka - wytłumaczyła Dina Dane'owi. - Ma dopiero sześć miesięcy i bardzo nie lubi spać. Na szczęście podróż ją zmęczyła i zasnęła, zanim przyszedł pierwszy gość.

Chłopiec, który do nich podszedł, mógł mieć jakieś dziewięć lat i był bardzo podobny do Diny.

- Tato - zwrócił się do Maca - szeryf McGraw mówi, że może mi jutro pokazać więzienie. Pójdiesz ze mną?

Mac potargał chłopcu włosy.

- Jasne, że pójdę.

- A ja wtedy wybiorę się do Allison zobaczyć jej malutką córeczkę - oświadczyła Dina.

Frank roześmiał się.

- A ja myślałem, że przyjechaliście tutaj na wakacje. Mac objął żonę.

- To są wakacje, ale chcemy je wykorzystać na spotkania ze starymi przyjaciółmi i uświetnienie waszej uroczystości.

Dina znowu zwróciła się do Marii.

- Pokażę ci szkice, jakie zrobiłam ostatnio. Jeden z nich został nagrodzony.

Dane zauważył dumę na twarzy Maca.

Frank wskazał mu drzwi prowadzące do kuchni.

- Tam są napoje, a jedzenie jest w jadalni. Zaraz puścimy muzykę na patio.

- Jest pan bardzo szczęśliwym człowiekiem - zauważył Dane. - Ma pan wielu przyjaciół, którzy się cieszą z pańskich zaręczyn. Ma pan rodzinę.

Frank poklepał go po ramieniu.

- Nie zawsze tak było, doktorze. Jeszcze kilka lat temu nie znałem swojego syna. Opuściłem swoje dzieci i ich matkę, kiedy były małe. Kiedy Mac poznał Dinę i Jeffa, zaczął się zastanawiać, czy chce mnie odszukać, i zrobił to.

- Jeff nie jest synem Maca?

- Nie, ale nigdy by pan nie zauważył, prawda? Nie myślę o fizycznym podobieństwie, to nie jest ważne. Oni są ze sobą mocno zżyci i nic tego nie zmieni. - Obrzucił wzrokiem swoje dzieci i dodał: - Dina zmieniła życie Maca. To niezwykła kobieta. - Potem zmienił temat i wrócił do gości. - Ten wysoki facet w dżinsach i koszuli to Jase McGraw, nasz szeryf.

Obok szeryfa stała śliczna blondynka z dzieckiem na ręku. Dane rozpoznał niemowlę, którym opiekowała się Maria.

- Jase przyjechał tu z Richmond - opowiadał Frank. - Zawsze bardzo się przyjaźnili z Allison, potem na jakiś czas się rozstali, a teraz proszę spojrzeć, jaka z nich dobra rodzina.

Podeszła do nich Gloria i objęła Franka.

- Może byśmy przeszli na patio? Właśnie nadjechały dwa samochody. Zaraz zrobi się tłoczno.

W chwilę potem Dane swobodnie rozmawiał z Makiem. Przyłączył się do nich Jase i rozmowa zesłała na różnice w stylu życia na wschodnim wybrzeżu i w Nowym Meksyku.

Gawędząc, Dane nie spuszczał oka z Marii. Znała tutaj wszystkich, ale wiedział, że po to nie trzeba się urodzić w Red Bluff. Każdy lekarz zaprzyjaźniłby się szybko z tymi ludźmi.

Przyjęcie trwało, ale w niczym nie przypominało obiecanej „randki”. Dane w końcu odszukał Marię i zapytał, czy jest głodna. Przytaknęła; poszli do bufetu, a potem z pełnymi talerzami usiedli na patio.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego nie zamierzasz opuszczać Red Bluff - zauważył.

- A według ciebie dlaczego?

- Bo tutaj jesteś u siebie. Nie tylko masz rodzinę, masz również środowisko, w którym dobrze się czujesz.

- Zawsze tak było - odparta. - Tony nigdy naprawdę do nas nie należał, mimo że moja rodzina go zaakceptowała.

- Może to kwestia wychowania. Może tylko ci, którzy pochodzą z dużych rodzin, mają taką łatwość kontaktu z innymi ludźmi.

Maria spojrzała na niego i zamyśliła się. Wyjął jej pusty talerz z ręki i postawił obok swojego. Potem wstał.

- Chodź, zatańczymy.

Kilka par - wśród nich narzeczeni - tańczyło już przy powolnej romantycznej muzyce.

Objął Marię, a ona uniosła na niego oczy.

- To chyba jednak randka - szepnęła,

- Przecież obiecałem.

Dane dzisiaj był jakiś inny; miał inny głos i inne spojrzenie. Coś się między nimi zmieniło.

Przychodzili nowi goście, rozbrzmiewała coraz to inna muzyka, a oni tańczyli mocno do siebie przytuleni.

W pewnej chwili Wyatt Baumgardner pomachał im ręką.

- Tylko sobie nie wyobrażaj - szepnął Dane do ucha Marii - że pozwolę ci z nim tańczyć.

Uniosła na niego roześmiane spojrzenie.

- Zabrzmiało to zupełnie jak zakaz - szepnęła, przypominając sobie tamten festyn i to, jak bardzo, tańcząc z Wyattem, pragnęła znaleźć się w ramionach Dane'a.

- Wolisz tańczyć z nim czy ze mną? - zapytał Dane.

- Z tobą - przyznała.

W niebieskich oczach Dane'a zapaliły się srebrne ogniki.

Świetnie tańczył i szybko się uczył nowego kroku. Tego wieczoru wyglądał młodo i beztrąsko. Zupełnie jakby odzyskał wiarę w siebie i w życie. Czyżby to wynik fizykoterapii? A może zapowiedź zmian? Pewnie kiedy lepiej się poczuje, postanowi stąd wyjechać. Przecież taki specjalista jak Dane Cameron nie będzie się marnował w małym miasteczku.

Wszystko to przelatywało przez głowę Marii, ale nie zatrzymywała złych myśli, starając się nacieszyć tym, co trwało. To był bajkowy wieczór; tańczyli, potem zmęczeni przysiadali i pili coś zimnego i znowu wracali na zaimprovizowany parkiet.

Rozmawiali o różnych rzeczach i było im ze sobą bardzo dobrze. Maria czuła, że spotkała pokrewną duszę, i natychmiast ganiła się za naiwność.

Goście zaczęli się rozchodzić, a oni nadal tańczyli. Dane obejmował Marię w pasie, a ona zarzuciła mu ręce na szyję.

- Może się przejdziemy - zaproponował, a ona zgodziła się, chcąc zostać z nim sam na sam.

Wyszli przed dom i ogarnął ich chłodny powiew. Gwar ludzkich głosów i blask światła pozostały daleko z tyłu. Dane przytulił ją do siebie i stało się oczywiste, że znaleźli się tutaj nie po to, żeby podziwiać krajobraz.

Podeszli do zagrody i usłyszeli ciche rżenie koni, niewidocznych w mroku nocy.

- Bardzo udane przyjęcie - odezwał się Dane.

- Gloria i Frank to wspaniali ludzie - przytaknęła cicho Maria. - Bardzo długo byli sami, cieszę się, że się odnaleźli.

Obrócił ją ku sobie.

- Przez cały czas myślałem, że chcę cię pocałować.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Myślałem o twojej opinii... o plotkach...

- Zupełnie mnie to nie obchodzi.

Mówiła prawdę; w tej chwili obchodził ją tylko on. Przeraziła ją siła, z jaką zapragnęła, by ją całował, tak jakby całą sobą czekała na dotyk jego ust. Takiej siebie nie знаła... Dane pochylił głowę i pocałował jej nagie ramię.

- Tak cudownie pachniesz - szepnął. Wargami musnęła jego szyję.

- Ty też...

Kiedy jednak jego dłoń dotknęła jej piersi, Maria poczuła, jak ogarnia ją nieznane dotąd podniecenie. Zrozumiała, że musi go powstrzymać, i odsunęła się.

- Po co to robisz, Dane? Spochmurniał.

- Jest nam razem tak dobrze... - zaczął.

- Tak, tańczyć i rozmawiać - dokończyła za niego.

- To tak ma według ciebie wyglądać randka? - zapytał cicho.

- Już o tym mówiliśmy, Dane. Ja nie należę do kobiet, które potrafią spędzić z mężczyzną noc, a rano powiedzieć do widzenia. Ja jestem inna.

- Po co od razu mówić sobie do widzenia - zaprotestował.

- Dlaczego nie można spędzać ze sobą czasu, po prostu ciesząc się z tego, że się jest razem i przeżywa przyjemne chwile. Po co zastanawiać się nad przyszłością?

Maria pokręciła głową.

- Mnie wychowano inaczej.

Jej odpowiedź zdenerwowała go.

- A może stosujesz uniki? Może boisz się być kobietą, bo w roli matki i córki czujesz się bezpieczna...

Jego uwaga bardzo ją zabolęła. Otaczała ich księżycowa noc, a ona czuła, że lada chwila wybuchnie płaczem. Dane nie może zobaczyć jej łez. Odwróciła się i szybkim krokiem odeszła w stronę domu. W pewnej chwili zaczęła biec.

- Mario! - krzyknął za nią.

Nie zatrzymała się. Uciekała od mężczyzny, który miał jej do zaproponowania jedną noc, najwyżej dwie, a którego chciała mieć na całe życie.

W niedzielne popołudnie szedł w stronę pracowni Marii, nie bardzo wiedząc, po co przyjechał na ranczo.

Poprzedniego wieczoru, kiedy od niego uciekła, pozostał zły i sfrustrowany. Zły, bo nie zaspokoila jego požądania; sfrustrowany, bo nic nie rozumiał.

Maria uciekająca to coś zupełnie nowego... Nie była typem kobiety, która przed kimś ucieka. Zwykle stawiała czoło sytuacji i reagowała we właściwy sposób.

Musiał ją bardzo zranić.

Odwiózł ją wtedy do domu i całą drogę milczeli jak dwoje nieznajomych, a nie ludzie, którzy pół godziny wcześniej całowali się niczym kochankowie. Dziś udał się na ranczo, bo chciał przerwać złowrogie milczenie.

Wszedł do pracowni i ujrzał Marię przy warsztacie. Nagle go olśniło: przecież przyjechał ją przeprosić!

Zwróciła ku niemu głowę i uśmiech zamarł na jej twarzy. Myślała pewnie, że przyszedł ktoś z rodziny, nie spodziewała się „wroga”. Nie obdarzywszy go dłuższym spojrzeniem, wróciła do przerwanej pracy. Coś właśnie malowała na wysmukłym dzbanie.

- Nie przeszkadzam? - zapytał.

Zwróciła ku niemu pozbawioną wyrazu twarz.

- Jestem zajęta - odparła obojętnie.

- Twoja matka mówiła mi, że pracujesz, ale ponieważ wspominałaś, że mógłbym tu przyjść...

- Gimnastykować rękę - przerwała mu rzeczowo.

- Nie wiem...

Uniesiony pędzelek lekko zadrżał w jej dłoni.

- Jeśli przyszedłeś poćwiczyć, proszę bardzo. W przeciwnym razie, wybaczone, ale nie mam czasu.

- Mario, bardzo cię przepraszam za wczoraj. Nie zaszczyliła go wzrokiem.

- Za co mnie przepraszasz? - prychnęła gniewnie. - Za to, że nie wskoczyłam ci do łóżka? Za to, że nie wyparłam się wszystkiego, czego mnie nauczono? Za to, że nie zapomniałam, kim jestem?

Taką Marię znał i wolał to od jej milczenia.

- Przepraszam, że cię zraniłem, przepraszam, że niechcący cię obraziłem. Pragnąłem cię tak bardzo, że nie mogłem nad sobą zapanować.

Jego szczerłość udobruchała ją.

- A teraz? - zapytała łagodniej.

- Teraz też ciebie pragnę, ale zrozumiałem, że nade wszystko chciałbym cię widywać.

Spojrzała na niego i poczuł, że jej ciemne oczy przenikają go na wylot. Nawet gdyby chciał ją oszukać, nie miałby na to szans.

- Chcesz poćwiczyć na kole garncarskim? - zapytała.

- Jeśli tylko pod tym warunkiem mogę tu zostać... Kąciki jej ust drgnęły.

- Tak.

- W takim razie może być koło.

Pokazała mu, jak usiąść na stolku za kołem, a potem wręczyła mu kawałek gliny.

- Spróbuj. Tylko staraj się utrzymać glinę na samym środku koła, bo inaczej wszystko na nic. Przy tej pracy trzeba używać całego ciała, to doskonałe ćwiczenie dla szyi i ramion.

Dane uśmiechnął się i pomyślał, że to zupełnie jak lepienie z plasteliny. .

- Trzymaj glinę w rękach - pouczyła Maria - a jak koło się kręci, ugniataj ją palcami i spychaj do środka.

Spróbował i ze zdziwieniem spostrzegł, że „w akcji” rzeczywiście bierze udział całe ciało.

- Obiema rękami - upomniała go Maria, widząc, że instynktownie stara się oszczędzić prawą dłoń.

- Cały czas ugniataj i kieruj do środka... Świetnie! Nie przypuszczałem, że to taka intensywna gimnastyka dla palców, dłoni i nadgarstka. Przez chwilę milczałem, starając się utrzymać rytm narzucany przez obracające się koło.

- Musisz być o wiele silniejsza, niż wyglądasz - mruknął w pewniej chwili - skoro regularnie tak ćwiczysz.

Maria uśmiechnęła się.

- Nie chciałbyś mnie spotkać w ciemnej uliczce, co?

Po początkowych sukcesach zaczęły się niepowodzenia. Glina raz po raz ześlizgiwała się na boki i Dane'owi sporo czasu zajęło zrozumienie, że w tym przypadku szybkość nie jest jego sprzymierzeńcem. Im szybciej obraca się garncarskie koło, tym szybciej można nadać kształt naczyniu. Nie należy jednak przesadzać. Przy zbyt dużej szybkości wszystko spada i trzeba zaczynać od nowa.

Maria dała mu jeszcze kilka rad, po czym wróciła do stołu i swojego malowania.

W jakąś godzinę później Dane'owi udało się uformować coś, co od biedy można by nazwać wazonem. Bolały go wszystkie mięśnie, lecz promieniał.

Maria ustawiła jego dzieło na półce.

- Teraz musi tak postać i trochę stwardnieć. Potem będziesz mógł jakoś go ozdobić.

Dane otworzył szeroko oczy.

- To jest jeszcze nie gotowe? Roześmiała się.

- To zależy.

W tej samej chwili do pracowni wtargnęła Sunny, podbiegła do Dane'a i zadarła ku niemu roześmianą buzią. Uniósł umazane gliną ręce.

- Uważaj, słoneczko, bo cię pobrudzę! Dziewczynka uniosła ciemne brwi i zaszczębiotała.

- Zjemy lodzika?

Dawniej widok jej buzi przypominał mu Keitha i sprawiał dojmujący ból. Teraz widział w niej tylko słodkie małe dziecko. Wytarł ręce i posadził ją sobie na kolanach.

- Lodzika, mówisz? Jeśli to zaproszenie, to czemu nie, z przyjemnością.

W godzinę później Maria zabrała ich na lody do kuchni. Dane swobodnie gawędził z jej rodzicami. Słuchał opowieści ojca Marii o stadninie i koniach oraz tego, co Carmella mówiła o dzieciach, ich nauce i osiągnięciach.

Przez cały ten czas Maria biła się z myślami.

Dane zaskoczył ją swoją wizytą. Nigdy nie przypuszczała, że przyjdzie ją przeprosić. Poprzedniego wieczoru dowiedziała się, na czym mu zależy, odrzuciła to i uznała sprawę za raz na zawsze zakończoną.

Czyżby zależało mu tylko na jej przyjaźni? Chciał mieć po prostu jakąś pokrewną duszę na czas pobytu w Red Bluff?

Jego życie najwyraźniej uległo zmianie. Kiedy Sunny podbiegła do niego w pracowni, nie odtrącił jej, tylko przygarnął, a to był już wielki krok naprzód. Czy za tym krokiem może nastąpić drugi?

Czy Dane potrafi znowu kogoś pokochać?

Włożyła ostatni talerz do zmywarki i usłyszała kroki ojca. Podszedł i oparł się o blat.

Znała ten wyraz jego twarzy.

- O co chodzi, tatusiu?

- O Dane'a Camerona - odparł cicho, żeby nie usłyszał go nikt na patio.

- A co z nim? - zapytała, chcąc zyskać na czasie.

Nie pozwolił jej na to.

- Jesteś pewna, że chcesz się zaangażować?

- A dlaczego tak myślisz?

- Córeczko... - W jego głosie zabrzmiało pobłażanie.

- Dobrze cię znam. Widzę, jak na niego patrzysz, jak on patrzy na ciebie i jak się do ciebie odnosi.

Pokręciła ze smutkiem głową.

- On tu dłużej nie zostanie.

- Jesteś pewna?

- Kiedy odzyska formę, kiedy jego ręka stanie się sprawna, wyjedzie stąd natychmiast.

Tom Eagle przyjrzał jej się z uwagą.

- A ty bardzo byś chciała, żeby został.

- Tak - szepnęła. Zawsze mówiła mu prawdę.

- On nie jest taki jak my, Mario.

Zwykle szanowała przesady rodziców, ale nieraz strasznie ją irytowały.

- Tony był taki jak my - oświadczyła cierpko - a opuścił mnie bez chwili wahania. Nie używaj więc tego argumentu, bo w tej sytuacji jest bezzasadny.

Ojciec zachował kamienny spokój.

- Jesteś pewna, że z twojej strony to nie tylko bunt? - zapytał.

- Przeciwno czemu? Przeciwno temu, czego oboje z mamą uczyliście mnie przez całe życie? Przeciwno temu, co

kocham? Nie, tato, ja się nie buntuję; ja po prostu czuję coś, czego nigdy dotąd nie doświadczyłam.

W oczach ojca dostrzegła niepokój.

- Nie chciałbym, żebyś znowu cierpiała, córeczko. Maria wzięła głęboki oddech.

- Ja też nie chcę znowu cierpieć, tatusiu, ale nie mogę ignorować tego, co czuję do Dane'a.

- Nawet jeśli on postanowi stłumić swoje uczucia? Próbując szczerze mu odpowiedzieć, zrozumiała nagle, że chce kochać Dane'a wbrew wszystkiemu.

- Ja nie wiem, co będzie dalej, tatusiu...

- Nie potrafiłem cię nauczyć zdrowego rozsądku. W jego głosie brzmiał nie gniew, tylko żal i troska. Podeszła i pocałowała go w policzek.

- Nie potrafiłeś, to prawda, ale zawsze byłeś przy mnie, kiedy ten brak dawał mi się we znaki, i za to ci dziękuję.

Poklepał ją po plecach, tak jak robił, kiedy była mała, i Maria prawie się rozplakała. Ostatnio zrobiła się niesłychanie wrażliwa. Dane poruszył w niej emocje, których nie знаła i wobec których czuła się bezbronna.

W poniedziałek rano, zaraz po zabiegach z Dane'em, Maria udała się do Albuquerque, do miejskiego szpitala. Miała tam kilku pacjentów i chciała ich obejrzyć przed rozpoczęciem dyżuru w przychodni.

Nie przestawała myśleć o niedzielnej wizycie Dane'a i rozmowie z ojcem. Nie mogła już się zatrzymać. Nie mogła nic zmienić w swoim życiu. Wszystko zaczęło się toczyć własnym trybem i nie potrafiła zatrzymać lawiny. Kochała tego mężczyznę i nie wiedziała, co z tego wyniknie.

Przejrzała karty pacjentów i poszła zobaczyć panią Gundale, która w sobotę złamała kość udową i przewieziono ją do Albuquerque, Chora czuła się nieźle i rwała się do domu. Potem Maria zajrzała jeszcze do Ramireza, który spadł z

drabiny i złamał sobie nogę. Nazajutrz miał zostać wypisany. Poważniejszym przypadkiem była Bea Davis, której tego dnia miano operować raka piersi, i u niej Maria posiedziała nieco dłużej.

Dopiero o jedenastej oddała karty pacjentów dyżurnej pielęgniarce. Wychodząc od niej, natknęła się na doktora Graysona, kardiologa, z którym nieraz już konsultowała „sercowe sprawy” swoich pacjentów.

- Witaj - powiedział. - Strasznie dawno cię nie widziałem. Co tam u was słychać?

Doktor Grayson miał sześćdziesiąt lat, siwe włosy i twarz cherubinka, a jego zielone oczy widziały znacznie więcej niż tylko symptomy choroby. Maria bardzo go ceniła.

- Jakoś sobie radzimy. Doktor Grover przeszedł na emeryturę i mamy kogoś na jego miejsce.

- Wiem. Specjalistę z Nowego Jorku. Jak on się nazywa? Dane Cameron?

- Tak.

- Jak mu idzie? Nieraz medycyna ogólna to nie jest to, co specjaliści lubią najbardziej.

- Idzie mu doskonale.

Doktor Grayson przechylił głowę.

- Dlaczego on właściwie przyjechał do Red Bluff? Trochę to podejrzane, że tak znakomity kardiochirurg chce się zaszyć w małym miasteczku. Chyba że przed czymś ucieka.

Maria pokręciła głową.

- On nie ucieka, on próbuje leczyć rany. Stracił żonę i synka w wypadku. A do tego ma niesprawną rękę, dlatego się przekwalifikował.

- Ciężka sprawa - westchnął ze współczuciem doktor Grayson. - Mówisz, że dobrze sobie radzi z interną?

- Tak, ale nieraz myślę, że tęskni za kardiochirurgią. Dlatego gdybyś w przypadkach pediatrycznych potrzebował konsultanta, możesz go wziąć pod uwagę.

Doktor Grayson zamyślił się.

- Akurat teraz mamy na oddziale wcześniaka, który mnie niepokoi. Myślisz, że mogę zadzwonić do doktora Camerona?

Maria posmutniała.

- Trudno wyczuć. Wcale mu nie powiem, że z tobą rozmawiałam.

- W takim razie, dlaczego to robisz?

Rozmowa coraz mniej dotyczyła spraw medycznych.

- Bo chcę, żeby Dane był szczęśliwy.

- Jesteście nie tylko kolegami? Zaczerwieniła się.

- Sama nie wiem. Wiem tylko, że nie chcę widzieć, jak ktoś taki się marnuje.

- W porządku. W takim razie zadzwonię do niego, ale pewnie będzie pytał, skąd się o nim dowiedziałem.

- Możesz mu powiedzieć, że się spotkaliśmy i tak jakoś się zgadało. Nie będę przed nim nic ukrywać.

Z wyjątkiem tego, że się w nim zakochałam, dodała w myślach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy sekretarka przekazała Dane'owi prośbę doktora Graysona, bardzo się zdziwił. W wolnej chwili wystukał podany numer i natychmiast go połączono.

- Dzień dobry, panie doktorze. - Głos w słuchawce był tubalny i sympatyczny. - Nazywam się Grayson i jestem kardiologiem w szpitalu w Albuquerque. Wiem, że jest pan dziecięcym kardiochirurgiem, a że akurat mamy tu pewien przypadek, chciałbym go z panem skonsultować. Czy mógłby pan do nas przyjechać?

Dane znał jego nazwisko z kart pacjentów, ale zaciekało go, skąd doktor Grayson wie o jego istnieniu.

- Czytałem pańskie artykuły w medycznych czasopismach - usłyszał w odpowiedzi.

- A skąd pan wie, że jestem w Red Bluff, panie doktorze? - pytał dalej.

- Rozmawiałem dziś rano z Marią Youngbear.

- A jak rozmowa zeszła na mnie? - dociekał Dane, nie bacząc na to, że przypiera doktora do ściany.

- Wspomniała, że byłby pan świetnym konsultantem.

- Rozumiem.

Doktor Grayson zaczął się wycofywać.

- Jeśli nie ma pan czasu, poszukam gdzie indziej.

Maria doskonale wiedziała, że Dane nie odmówi pomocy.

- Proszę tego nie robić - oświadczył szybko. - Przyjadę do pana jutro rano, doktorze.

- Świetnie. - W głosie lekarza zabrzmiała ulga. - W takim razie, do jutra.

Dane odłożył słuchawkę i poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Poprosił Marię do siebie.

- Właśnie dzwonił do mnie doktor Grayson. Zdaje się, że dziś rano o mnie rozmawialiście.

- Tak - wyznała z wahaniem. - Kiedy go dziś spotkałam. .. pomyślałam, że może byś chciał wrócić do swojej specjalności.

Twarz Dane'a zrobiła się nieprzenikniona.

- Sądzę, że to moje sprawy i tylko ode mnie zależy, jaką podejmę decyzję.

Był na nią zły, bo chociaż poprzedniego dnia spędzili razem kilka godzin, nie miał okazji jej pocałować ani dotknąć. Postanowił, że będą przyjaciółmi, ale teraz na jej widok doznał tak wielkiego podniecenia, że niemal już zapomniał, co chciał jej powiedzieć. Postąpił krok w jej stronę i Maria nie cofnęła się.

- Kiedy twoja ręka odzyska sprawność - powiedziała spokojnie - powinieneś wrócić do zawodu. Widzę, że obecność Sunny już cię tak nie razi...

- Jesteś niesamowita - przerwał jej. - Czasem posuwasz się zbyt szybko, a czasem strasznie się ociągasz.

Ujął jej twarz w dłonie i zaczął ją całować, namiętnie i rozpaczliwie. Zarzuciła mu ręce na szyję i odpowiedziała pocałunkiem równie rozpaczliwym i namiętnym. Oboje pragnęli siebie tak bardzo, że czas i miejsce przestały się liczyć.

Zsunął jej fartuch z ramion, a ona pomogła mu go zdjąć. Dane ruszył ku drzwiom, zamknął je na klucz i wrócił do Marii. Dotykali się rozdygotanymi dłońmi, gorączkowo zrywając wszelkie zasłony i niweczając wszelkie przeszkody na drodze do zaspokojenia. Położył Marię na kanapce i zaczął rozpinać jej bluzkę. Czuła, że wszystko, w co dotąd wierzyła, wali się w gruzy. Wychowanie, tradycja, nakazy i zasady znikwały w szaleńczym wirze.

Dźwięk telefonu dobiegł do nich dopiero po dłuższej chwili.

Dzwoniła Betsy.

- Żona przywiozła Virgila Harrihana. Ma silne bóle mostka, promieniujące do lewej ręki.

Dane zaczął się błyskawicznie ubierać.

- Nie ruszajcie go, już idę.

Maria drżącymi dłońmi włożyła stanik, bluzkę i zapięła spodnie. Dane już był przy drzwiach. Wsunęła sandały i ruszyła za nim.

Wystarczył im jeden rzut oka na pobladłą twarz Virgila.

- Trzeba wezwać karetkę! - zdecydował Dane.

Pozostali pacjenci, jak sparaliżowani, patrzyli na szybką akcję lekarzy. Dane kazał zawieźć pacjenta do pokoju zabiegowego, ułożyć na stole i podać aspirynę. Maria podłączyła go do monitora i włożyła pod język nitroglicerynę.

W kwadrans później Dane karetką odwiózł go do szpitala w Albuquerque.

Virgil został w dobrych rękach; Maria musiała się zająć pozostałymi pacjentami. Próbowała zapomnieć o scenie do której doszło w gabinecie. Pobudzone ciało nie bardzo chciało słuchać, przyśpieszony oddech z trudem wracał do normy.

Około czwartej Dane zadzwonił z Albuquerque i zawiadomił ją, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

- Zmiany w EKG są nieznaczne, nitrogliceryna pomogła mu się ustabilizować, doktor Grayson podaje mu enzymy. - Zanim się odezwała, dodał: - Idę teraz z doktorem Graysonem do tego noworodka i zaraz wracam.

W poczekalni jeszcze siedzieli pacjenci.

- Zostanę, jak długo będzie trzeba - uspokoiła go Maria. Wiedziała, że matka nie będzie miała nic przeciwko temu, że przyjedzie po Sunny nieco później.

Kiedy Dane wrócił, siedziała w ich wspólnym gabinecie nad papierami. Uniosła ku niemu głowę.

- Co tam słysząc? - zapytała.

Nie mogła nie napotkać jego wzroku.

- Stan Virgila jest stabilny. Clara siedzi, trzyma go za rękę i marudzi, że prowadził niehigieniczny tryb życia.

Zwykle by się uśmiechnęła na takie dictum, ale teraz była zbyt spięta.

- A co z doktorem Graysonem?

- Odbyliśmy konsultację - odparł Dane lakonicznie i podszedł do swojego biurka.

Nie mogła się powstrzymać.

- No i jak? Co czułeś w roli kardiologa? Spojrzał na nią nieprzyjaźnie.

- Przecież wiesz, że nigdy nie wrócę do tej specjalności. Nigdy już nie będę operował. Dręczysz mnie tak, bo chcesz, żebym stąd uciekł?

- Nie!

Przewiercał ją wzrokiem, jakby czekał, co powie dalej.

- Doskonale dajesz sobie tutaj radę, ale to nie dla ciebie. Możesz zrobić o wiele więcej. Kiedy ręka wróci do normy, sam to poczujesz.

- Jednym słowem, chcesz się mnie pozbyć, zanim... zbyt się do siebie przywiążemy?

Niczym na zwolnionym filmie ujrzała ich dwa nagie ciała na kanapce w gabinecie; poczuła na sobie ciężar Dane'a i smak jego pocałunków. Kochała go i wiedziała, że go straci. Dane wyjedzie z Red Bluff i zostawi ją.

Dzięki Bogu, że zadzwonił ten telefon. Gdyby nie to, kochałaby się z Dane'em i teraz wszystko byłoby jeszcze trudniejsze.

- To, co się stało rano... - zaczęła.

- Powinno się stać w mojej sypialni - dokończył.

- Nie powinno się stać w ogóle - poprawiła go. Pokręcił głową.

- Nie pojmuję, dlaczego tak przeczysz oczywistościom. Przecież my się pragniemy. Namiętność nie zniknie, jeśli powiesz, że jej nie ma - powiedział z goryczą.

- Pragnę cię - wyznała cicho - ale muszę myśleć o sobie i dziecku. A ty musisz zdecydować, czy pragniesz czegoś na chwilę, czy na zawsze...

Dane zmarszczył brwi.

- Co to znaczy?

- Musisz postanowić, co zrobić ze swoim życiem. Spojrzał na nią z wyższością.

- A ty co robisz ze swoim życiem? Wybierasz życie bez mężczyzny? Bez pieszczot i pocałunków? Bez seksu?

Próbowała się bronić.

- Jak Sunny dorośnie...

- Jak Sunny dorośnie, będziesz gorzko żałowała, że straciłaś tyle czasu.

Stał tak blisko, że już tego żałowała, ale musiała się opanować. Musiała zachować się odpowiedzialnie, nawet gdyby potem miała tego gorzko żałować. Mogła mu pomóc tylko w jeden sposób. Mogła przywrócić mu nadzieję.

- Co robisz w piątek? - zapytała.

Spojrzał na nią ze zdumieniem, nie przygotowany na niespodziewany zwrot w rozmowie.

- A co?

- Chciałabym ci coś pokazać.

- Jakąś turystyczną ciekawostkę?

- Zobaczysz na miejscu. Nie podobało mu się to.

- Nie lubię tajemnic - oświadczył sucho.

- To nie tajemnica, to niespodzianka. Jeśli Allison znajdzie opiekunkę do dziecka, przyjdzie do przychodni i będzie odpowiadać na wezwania, a w razie czego po nas zadzwoni.

- Coś mi się wydaje, że nie zamierzasz mnie zawieźć do najbliższego motelu.

W jego głosie zniecierpliwienie ustąpiło miejsca rozbawieniu. Przecież nie byli wrogami, byli przyjaciółmi, a może nawet więcej... Maria odpowiedziała mu uśmiechem.

- Racja. To nie motel, wręcz przeciwnie. Spojrzał na nią zaintrygowany.

- Nawet nie próbuję się domyślać. Zgoda, pojedę z tobą w to tajemnicze miejsce, ale tylko z jednego powodu: lubię spędzać z tobą czas.

Ona też lubiła spędzać z nim czas. A czasu mieli niewiele. ..

- Daleko jeszcze? - zapytał, zerkając na Marię.

Było piątkowe popołudnie i podążali w nieznanym kierunku. Poprzedniego wieczoru Dane, po ostatniej lekcji z Joe, chciał zapytać, co też chce mu pokazać jego siostra, ale zrezygnował. Niech się dzieje, co chce.

Najpierw pojechali do Albuquerque, sprawdzić, jak się czuje Virgil. Zrobiono mu test wysiłkowy, echo serca i koronarografię; nazajutrz miał być wypisany do domu. Clara ucałowała ich oboje, wylewnie dziękując za pomoc.

- Mam nadzieję, że będzie o siebie dbał i nie zrobi mi już żadnej niespodzianki.

Dane uparł się, że będzie prowadził, mimo że nie znał drogi. Maria podała mu kierunek: jechali w stronę Chimayo, jakieś osiemdziesiąt kilometrów na północny zachód od Santa Fe. Droga wiodła do sanktuarium w Chimayo.

- Przywiozłaś mnie do kościoła? - zapytał. Maria pokręciła głową.

- To nie jest zwykły kościół. To miejsce nazywają amerykańskim Lourdes.

- Z powodu cudów?

- Tak.

Dane znacząco spojrział na restaurację, kiosk z pamiątkami i budę z jedzeniem.

- Staraj się zobaczyć coś więcej - poradziła Maria i wysiadła z samochodu.

Ruszyli w stronę budowli z palonej cegły.

- W 1810 roku pewien zakonnik ujrzał na zboczu wzgórza światełko. Poszedł tam i zobaczył krzyż. Miejscowy proboszcz zawiózł ten krzyż do Santa Fe, ale krzyż wkrótce zniknął i powrócił na swoje dawne miejsce. Postanowiono zbudować tu kaplicę. Ludzie tłumnie ją odwiedzali i zaczęły dziać się cuda. Wtedy wzniesiono kościół.

- Dlaczego mnie tutaj przywiozłaś?

- Sam zrozumiesz.

Nie lubił rzeczy, których nie mógł dotknąć, zobaczyć czy poczuć, a krucyfiks w kaplicy wyglądał zupełnie zwyczajnie. Obok, przy głównym ołtarzu, widniała szara szczelina; to tam znaleziono ongiś krzyż.

Uwagę Dane'a zwróciło co innego. W pomieszczeniu przeznaczonym na modlitwę ściany obwieszane były kulami, laskami i protezami, pozostawionymi na pamiątkę doznanego cudownego uzdrowienia. Dziwnie go to wzruszyło.

Maria pochyliła głowę i stała bez ruchu. Miała na sobie białą, lekką sukienkę. Wyglądała jak anioł. I może rzeczywiście nim była.

Zrozumiał, że przywiozła go tu w konkretnym celu. Jeszcze raz powiódł wzrokiem po ścianach. Potem spojrział na swoją rękę i poruszył palcami. Może nie całkiem dobrze to szło, ale i tak o wiele lepiej niż przed dwoma tygodniami. Nie czekał na cud, nie w takim znaczeniu, jak czekają na cud inni ludzie; wiedział, że jeśli chce odzyskać formę, musi wiele ćwiczyć, musi tego bardzo chcieć i zrozumieć, że nic nie sprowadzi jego bliskich z powrotem.

Bardzo dawno już się nie modlił, ale teraz słowa modlitwy same pojawiły się na jego ustach. Modlił się nie o to, żeby jego kaleka ręka stała się taka jak dawniej, tylko o to, żeby jego pęknięte serce na nowo się zrosło i mogło pokochać. Nie bardzo wierzył, że ktokolwiek może mu pomóc, ale otworzył się na pomoc i w pokorze na nią czekał.

Wracali do domu spokojni i wyciszeni. Maria nie wiedziała, czy Dane milczy, bo tak bardzo jest wzruszony, czy też nie ma nic do powiedzenia i pragnie tylko jak najszybciej uwolnić się od niej. Gdy dotarli do obrzeży miasta, Dane wreszcie się odezwał:

- Zjemy kolację, zanim pojedziemy po Sunny?

- Chętnie - odparła zadowolona, że nareszcie przemówił i może się dowie, co mu chodzi po głowie.

Kelnerka zaprowadziła ich do stolika i Dane zaczął przeglądać menu.

Maria spojrzała na niego pytająco.

- Jesteś zły, że cię tam zawiozłam?

- Dlaczego myślisz, że jestem zły?

- Nie wszyscy lubią kościoły. Mógłbyś pomyśleć, że to niestosowne, że cię zawiozłam do sanktuarium, nie pytając, czy masz na to ochotę.

Oparł się o stół i przez chwilę na nią patrzył.

- Na początku coś takiego przyszło mi do głowy - wyznał.

- A potem?

- Potem zrozumiałem, dlaczego to zrobiłaś. Postanowiłaś przywrócić mi nadzieję. Chciałaś, żebym zobaczył ogrom ludzkiego nieszczęścia i ujrzał swoją sytuację we właściwym świetle. Jestem zdrowy, mam zawód i jeśli zechcę, mogę normalnie żyć. Może masz rację, ale nie oczekuj cudu. Nie postanowię niczego tak od razu. Maria pochyliła głowę.

- Nie oczekuję cudu. Chciałam, żebyś zobaczył, jak wiele posiadasz. Bardzo dużo straciłeś, ale nie odzyskasz tego, stojąc w miejscu.

- Wiem, że muszę robić te ćwiczenia i przestać litować się nad sobą - odrzekł po dłuższej chwili.

- Nie bądź wobec siebie zbyt surowy, Dane. Potrzeba dużo czasu, by uleczyć rany, nawet w przypadku lekarza.

Spojrzał jej w oczy.

- Próbujesz jakoś mnie ustawić, zanim mnie wyrzucisz?

- Dane...

- Spójrz prawdzie w oczy, Mario - przerwał jej. - Byłoby nam trudno się rozstać, gdybyśmy się związali, a potem ja musiałbym wyjechać, ale czy warto rezygnować z czegoś tak wspaniałego?

Wszystko w niej krzyczało, że nie, nie warto rezygnować z czegoś tak niezwykłego, ale zrezygnować musiała.

- Bardzo się różnimy, Dane. Ja wierzę w miłość na wieki, nie zależy mi na przelotnym romansie.

Nie rozgniewał się.

- Nie miałaś nikogo przed ślubem? - zapytał tylko. Maria zarumieniła się.

- Kiedy wychodziłam za mąż, byłam dziewicą. Tony rozumiał mnie i cierpliwie czekał na noc poślubną. Tak mnie wychowano. To, co zaszło między nami w przychodni, przeraziło mnie. Nie wiem, jak namiętność mogła doprowadzić mnie do takiego stanu. Odsunął się.

- Chcesz, żebym się od ciebie trzymał z daleka?

- Nie wiem - szepnęła. - Musisz myśleć, że jestem strasznie naiwna...

- Sam nie wiem, co myśleć - odparł w zadumie. Podeszła kelnerka i szybko zamówili byle co. Maria próbowała zachowywać się normalnie, ale nie była w stanie: myślała

tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się znowu w ramionach Dane'a.

Nie zamówili kawy ani deseru, żadne z nich nie miało ochoty przeciągać tego spotkania. Potem Dane odwiózł Marię na rancho rodziców i Carmella zaprosiła go do środka.

Ojciec Marii oglądał telewizję, a obok niego na kanapie drzemała Sunny.

- Zasnęła dopiero jakieś dziesięć minut temu - powiedział i odgarnął jej kosmyk z czoła. - Jak się udała wyprawa do Chimayo? - zapytał Dane'a.

- Nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego - odparł z powagą i podziwem.

Carmella doceniła to.

- Może coś zjecie albo wypijecie? - spytała przyjaźnie.

- Jedliśmy już, mamó - odparła Maria. - Teraz zabiorę tylko Sunny do domu.

- Zanim odjedziecie, chciałabym zaprosić Dane'a na naszą trzydziestą piątą rocznicę ślubu - oświadczyła jej matka. - W niedzielę urządzamy przyjęcie.

- Dziękuję za zaproszenie - skłonił się Dane. - Przyjdę z wielką przyjemnością.

Tom spojrział na niego, a jego słowa zabrzmiały jak pouczenie.

- Wychowaliśmy się razem, dlatego było nam łatwiej. Znaliśmy się i rozumieliśmy. Większość nieporozumień w małżeństwie bierze się stąd, że ludzie dochodzą do dorosłości różnymi drogami i potem nie są zdolni do kompromisu.

Maria zrozumiała, że ojciec ma na myśli jej małżeństwo z Tonym. Ona też nie była zdolna do kompromisu, przynajmniej na początku.

Dane ruszył w kierunku kanapy.

- Zaniosę Sunny do samochodu.

Wziął małą na ręce, jakby to było zupełnie naturalne, a Maria pomyślała z rozpaczą, że nigdy nie zostaną rodziną.

Tak samo wyniósł dziecko z samochodu i zaniósł pod drzwi mieszkania Marii. Otworzyła je, a Dane wszedł i ułożył malutką w łóżeczku.

- Dobranoc, córeczko - szepnęła Maria, a Dane z uśmiechem musnął jej policzek.

W salonie Maria zaproponowała kawę.

- Lepiej chyba pójdę - odparł, kręcąc głową. Wiedziała, że ma rację; wiedziała również, że bardzo chce, by został, i wiedziała, że nie może mu tego okazać. Odprowadziła go do drzwi.

- Co mam kupić twoim rodzicom na rocznicę ślubu? - zapytał jeszcze.

- Oni nie oczekują prezentu - odparła.

- Trzydziesta piąta rocznica ślubu to wielka rzecz. Jak myślisz, co by im sprawiło przyjemność?

Zamyśliła się.

- Bardzo lubią muzykę. Może jakąś płytę kompaktową?

- Dobry pomysł.

Stali i patrzyli na siebie, a ona nie mogła go zapytać, czy jest już gotów rozpocząć nowe życie. Bez odpowiedzi na to pytanie tkwili w martwym punkcie.

Dane pierwszy odwrócił wzrok.

- Widzimy się jutro rano. Poczwała łzy napływające jej do oczu.

- Dane...

Uniósł dłonie, jakby chciał w nie ująć jej twarz, ale opuścił je z powrotem.

- Nie mogę cię pocałować, Mario, bo potem nie jestem w stanie się opanować. Dziękuję za dzisiejszy dzień, zapamiętam go na zawsze.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi, a Maria rozplakała się. Kochała go z całego serca, a on jej tylko pożałował. Czuła się samotna i pozbawiona nadziei.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dane stał w drzwiach tarasu i pił poranną kawę. W nocy śnił o Marii, i to w sposób najbardziej szalony. Sam nie wiedział, jak mu się udało powstrzymać przed zapukaniem do jej drzwi. Z zamyślenia wyrwał go dźwięk telefonu.

- Doktor Cameron? - zapytał nieznany głos.

- Tak, to ja, słucham.

- Dzwonię do pana z Uniwersytetu Baybride w Connecticut. Nazywam się Rick Morris, jestem lekarzem.

Przy uniwersytecie znajdowała się nowoczesna klinika.

- Bardzo mi miło. Czym mogę służyć? - Dane nie krył zdziwienia.

- Powiem od razu, nie owijając w bawełnę, bo obaj, jak rozumiem, jesteście bardzo zajętymi ludźmi - usłyszał. - Chciałem panu zaproponować posadę na naszym uniwersytecie.

Dane oniemiał. Znał procedury obowiązujące w takich przypadkach, a nie przypominał sobie, żeby się starał o nową pracę.

- Nie zwracałem się do państwa w tej sprawie. Rick Morris był na taką reakcję przygotowany.

- Owszem, wiem, ale tak się składa, że potrzebujemy kogoś takiego jak pan, doktorze. Znam pański dorobek, wiem o wypadku i o tym, że chwilowo nie pracuje pan w swojej specjalności. Chcielibyśmy zaangażować pana jako wykładowcę. Czy w ogóle już pan nie operuje? Dane zebrał się w sobie.

- Rozpocząłem właśnie fizykoterapię - odparł. - Ręka jest teraz bardziej sprawna, ale jeszcze nie wiadomo, co będzie dalej.

Doktor Morris natychmiast podjął temat.

- Możemy pana przebadać u nas, mamy doskonałego specjalistę. W każdym razie, bez względu na to, czy będzie

pan mógł znów operować, czy nie, bardzo nam na panu zależy jako wykładowcy.

Jego słowa brzmiały w głowie Dane'a, kiedy jechał na gimnastykę do miejscowej szkoły.

Bardzo nam na panu zależy...

Propozycja ze strony prestiżowego uniwersytetu zrobiła mu przyjemność i rozbudziła nadzieję. Nie można zlekceważyć czegoś, co oznacza powrót do normalnego życia, a być może do zawodu. Przestałby pełnić rolę konsultanta, uczyłby młodych lekarzy, dzielił się z nimi swoim doświadczeniem, a z czasem... wróciłby do kardiochirurgii. Ponadto w klinice uniwersyteckiej gabinety fizykoterapii muszą być o wiele lepiej wyposażone niż to, czym dysponuje przychodnia w Red Bluff.

Jednym słowem, niezwykle kusząca propozycja.

Gdyby nie Maria.

Umówił się z doktorem Morrisem na telefon pod koniec przyszłego tygodnia. Do tego czasu musi rozpatrzyć wszystkie za i przeciw i zrobić plany na przyszłość.

Pod szkołą pełno było młodzieży. Dane właśnie szukał wzrokiem trenera, by mu zgłosić swoją gotowość do rozpoczęcia zajęć, kiedy jego uwagę przykuła grupka nastolatków.

Spostrzegł wśród nich brata Marii, który stał naprzeciw rudego dryblasa. To pewnie Trevor, pomyślał Dane i zatrzymał się na chwilę w bezpiecznej odległości.

Mina Trevora nie wróżyła nic dobrego. Obaj chłopcy wyglądali jak koguty szykujące się do walki. Stojący dokoła koledzy podgrzewali atmosferę okrzykami.

Dane nie wiedział, czy wołać na pomoc trenera, czy interweniować samemu. Z drugiej strony, bardzo go ciekawiło, jak Joe da sobie radę. W pewnej chwili Trevor szturchnął przeciwnika, a Joe tylko zacisnął pięści.

- Masz pietra, co? - zasyczał rudzielec. - Wy, Indianie, zawsze byliście tchórzami!

Brak reakcji ze strony brata Marii jeszcze bardziej go rozwścieczył. Uniósł pięści. Dane zrobił krok do przodu.

Joe wykonał szybki ruch i Trevor wylądował na ziemi. Stało się to tak błyskawicznie, że widzowie zamarli.

Trevor pozbierał się, zerwał i ruszył do ataku. Drugi precyzyjny chwyt unieszkodliwił go równie skutecznie.

Dane uśmiechnął się do siebie. Moja szkoła, pomyślał z uznaniem. W tej samej chwili dobiegł go spokojny głos Joe'ego:

- Jeśli chcesz walczyć, będziemy walczyć, ale to nic nie rozwiąże. Jestem dumny ze swojego indiańskiego pochodzenia. A ty co możesz powiedzieć o swoich przodkach?

Zebrani wokół chłopcy spojrzeli na niego z szacunkiem, jakby nagle urósł w ich oczach. Trevor poczerwieniał i coś zabalgotał.

- Pewnie nawet nie wiesz, skąd pochodzisz - ciągnął Joe. - To ci powiem, że twoi przodkowie przyплыnęli tu na statku Mayflower, ale Czejenowie żyli tu przed nimi.

Odwrócił się, spostrzegł Dane'a i podszedł do niego.

- Słyszał pan?

- Słyszałem i widziałem. Jestem z ciebie dumny.

- Zrobiłem tylko to, czego mnie pan nauczył. Zamilkli i Joe dodał:

- Dzięki, że pan nie interweniował.

- Każdy musi swoje sprawy załatwić sam. - Dane uśmiechnął się i powstrzymał chęć poklepania chłopca po ramieniu.

- Chciałem... - Joe zawahał się na chwilę - chciałem powiedzieć, że to dobrze, że jesteś przy Marii. Nie muszę się o nią martwić.

Jest przy Marii... Ma propozycję dobrej pracy... Rodzina Marii zaczyna go akceptować... Pokusa jest silna... Nie może jednak nikogo oszukiwać.

- Nie wiem, co będzie dalej - powiedział cicho. - Ani ja, ani twoja siostra nie znamy swoich planów.

Joe zmarszczył brwi.

- Tak czy inaczej, jesteś równy gość. Nie tak jak Tony. On ją zostawił.

Dane patrzył na niego w milczeniu. Bardzo nie chciał okazać się taki jak Tony, ale nie wiedział, czy on też nie opuści Marii.

Po treningu kupił kanapki, zimne napoje i owoce i zawiózł wszystko do przychodni. Zwykle to Maria i Joan przygotowywały sałatki i jogurty na lunch, ale tym razem postanowił je wyręczyć. Betsy jadła w mieście.

Maria przyjmowała jeszcze pacjentów. Dane zostawił torby z produktami w gabinecie i zapytał Joan, na co ma ochotę.

- Dziękuję, ale muszę coś załatwić. Zjedzcie z Marią sami.

Ustawił wszystko na stoliku przy kanapie.

- Co to jest? - Maria na widok obfitego lunchu zrobiła wielkie oczy.

- Skromny poczęstunek. Roześmiała się.

- Ktoś tutaj musi być bardzo głodny. Jak tam trening?

- Doskonale. W przyszłym tygodniu mam dwie godziny więcej.

Nie wspomniał o Joe'em. Jak chłopak zechce, sam jej powie.

Maria zdjęła fartuch i powiesiła go na oparciu krzesła.

- Dzwoniła Clara, żeby nam jeszcze raz podziękować. Virgil jest nieznośny, mówi, że ten higieniczny tryb życia wpędzi go do grobu - oznajmiła. - Poradziłam jej, żeby mu

dodawala czosnku i kajeńskiego pieprzu. Jedzenie nie będzie takie mdłe.

- O wszystkim myślisz, jesteś kochana...

Maria jest kochana, a on musi jej powiedzieć o telefonie Morrisa...

Usiadła i sięgnęła po kanapkę.

- Wygląda bardzo smakowicie. Nie chciał dłużej zwlekać.

- Rano miałem telefon.

- Skąd?

- Z Uniwersytetu Baybride w Connecticut. Proponują mi posadę.

Maria odłożyła kanapkę i lekko pochyliła głowę.

- Wiedziałam, że wyjedziesz.

- To nic pewnego - zaprzeczył szybko. Uniosła na niego oczy.

- Ale bierzesz to pod uwagę.

- Byłbym szalony, nie robiąc tego.

A ja byłabym szalona, gdybym cię błagała, żebyś został, pomyślała, czując, jak ziemia rozstępuje się jej pod nogami.

Gdyby coś do niej czuł, poprosiłby, żeby z nim pojechała... Myśl, że dla niego byłaby gotowa to zrobić, zdumiała ją i przestraszyła.

Nie mogła tak siedzieć obok niego i udawać, że spokojnie je kanapkę z indykiem. Gdy zerwała się na równe nogi, Dane spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Co się stało?

- Właśnie sobie przypomniałam, że mam coś do załatwienia. Muszę iść.

- Ależ Mario...

Nie chciała go słuchać, nie chciała mu pomagać w podejmowaniu decyzji, chciała być gdzieś daleko. Złapała torebkę i wybiegła.

- Wracam za godzinę! - krzyknęła przez łyzy.

W sobotni wieczór brał właśnie benzynę na stacji, kiedy ze stojącego obok samochodu terenowego wysiadł Jase McGraw. Pomachali sobie na powitanie i szeryf podszedł do niego.

- Co słyszeć, doktorze?

Poznali się na przyjęciu u Franka Nightwalkera i bardzo polubili.

- Właśnie wybieram się do myjni. - Dane wskazał swój zakurzony samochód.

Szeryf westchnął.

- Ach, te nasze drogi. Nic dziwnego, od miesiąca nie ma deszczu. Podobno już niedługo ma się zmienić pogoda, wtedy z kolei będziemy pływać po szosie.

Rzeczywiście, Dane uświadomił sobie, że od jego przyjazdu do Red Bluff ani razu tu nie padało.

- Jak się czuje mała? - zapytał, uznawszy temat pogody za wyczerpany.

Kontynuował towarzyską rozmowę, nie przestając myśleć o Marii. Strasznie dużo od niego wymaga, a on przecież nie ma pojęcia, czy chce się z kimś wiązać na całe życie i znowu ryzykować utratę.

- Moja córeczka ma się świetnie - odparł Jase. - Obie teraz nad nią skaczą, bo Maria z Sunny właśnie są u nas.

Słyszał, jak rano wychodziły, ale myślał, że jadą na ranczo. Jutro on tam pojedzie i będzie musiał zawiadomić Marię, jaką podjął decyzję.

Jase jakby czytał w jego myślach, bo powiedział:

- Maria nam mówiła, że masz jakieś plany wyjazdowe.

- Dostałem propozycję pracy.

- Szkoda. Ludzie cię zaakceptowali, a to różnie bywa - rzucił lakonicznie szeryf.

Pewnie dobrze o tym wiedział; sam przeniósł się do Red Bluff z Richmond zaledwie siedem lat temu.

- A z tobą jak było? - zaciekał się Dane.

- Na początku kiepsko, ale potem zobaczyli, że robię swoje, i to dobrze, i wszystko jakoś się ułożyło - odparł oględnie Jase.

- I teraz pewno nie wyobrażasz sobie, że mógłbyś mieszkać gdzie indziej?

Szeryf skinął głową.

- Tu jest nasz dom.

- Znaliście się z Allison przed przyjazdem tutaj?

- Tak. Allison była żoną mojego przyjaciela. Zginął na posterunku i wtedy się okazało, że pewne sprawy przed nią ukrywał. Postanowiła wyjechać z Richmond i schroniła się tutaj.

- A ty do niej dojechałeś?

- Coś w tym stylu.

Dane przypomniał sobie, jak po trzech latach małżeństwa na siebie patrzyli, i poczuł coś w rodzaju zazdrości.

- Mnie też się tu podoba - wyznał.

- Ale nie na tyle, żebyś został - zauważył szeryf.

- To nie takie proste. Szeryf wzruszył ramionami.

- Wiem, znam Marię nie od dzisiaj. Widać, że coś ją gnębi. Nic nie mówi, ale można się domyśleć, że chodzi o ciebie.

Obaj na chwilę zamilkli.

- Od rozvodu z nikim się nie spotykała - podjął wreszcie Jase. - Jak was zobaczyłem wtedy u Franka, pomyślałem, że może coś się zmieni.

- Nie chciałbym jej zranić - wyznał cicho Dane. Jase spojrział na niego z wyższością.

- Tak samo sobie mówiłem, stary, i o mało nie przegapiłem szczęścia. Allison by stąd uciekła i nigdy by się nie dowiedziała, jak ją kocham.

Dane zamyślił się.

- Życie ciężko mnie doświadczyło i nie wiem... - zaczął, ale szeryf mu przerwał.

- Też to sobie wmawiałem, a wszystko ze strachu. Dopiero potem zrozumiałem, że ważne jest tylko to, żebyśmy byli razem. Ale to twoje życie.

Wyciągnął do niego rękę.

- Życzę ci powodzenia, stary, bez względu na to, jakiego dokonasz wyboru.

W niedzielę rano, po kościele, Maria postanowiła się skupić nad jubileuszowym przyjęciem u rodziców. Wszystko już miała przygotowane i zapakowane do samochodu. Jej myśli jednak nieustannie krążyły wokół Dane'a...

Poprzedniego dnia odwiedziła Allison, by z nią porozmawiać; Allison dobrze wiedziała, co to znaczy kogoś kochać i nie być pewną wzajemności. Mimo to nie potrafiła jej pomóc, zupełnie jakby sytuacja Marii w niczym nie przypominała jej własnej sprzed lat.

A może tak właśnie było. Maria mogła w każdej chwili wyznać Dane'owi swoje uczucia. Mogła to zrobić, ale musiała przy tym mieć świadomość, że w ten sposób wywiera na niego presję i ogranicza jego wolę. A przecież jego szczęście bardzo leżało jej na sercu. Gdyby chociaż wspomniał, że chce ją zabrać ze sobą...

Dziś spotkają się na ranczu jej rodziców. Postanowiła trzymać się od niego z daleka, żeby tak strasznie nie cierpieć.

Wyszła na taras i wystawiła twarz do słońca. W tej samej chwili Sunny prześliznęła się obok niej i z szybkością błyskawicy dopadła oszklonych drzwi Dane'a. Maria jęknęła, widząc, jak dziewczynka zaczyna bębnić w nie piąstkami.

Dane otworzył jej z uśmiechem i zobaczywszy Marię, zaraz spoważniał.

- Czym mogę służyć? - zwrócił się dwornie do Sunny.

- U baby będą balony - oświadczyła radośnie dziewczynka.

Schylił się i wziął ją na rękę.

- Jak widzę, wybierasz się na przyjęcie. Ja chyba też. Jak mam się ubrać, co mi radzisz?

- To nic oficjalnego, możesz włożyć, co chcesz - odpowiedziała za córkę Maria.

Sama miała na sobie czerwoną sukienkę bez rękawów i wyglądała jak bóstwo.

- Pojedziemy moim samochodem, nie ma sensu brać dwóch - pogodnie oświadczył Dane.

- Lepiej wziąć mój - odparła Maria. - Mam fotelik dla Sunny.

W jego oczach pojawił się cień wspomnienia, ale zaraz zniknął.

- Jeśli pozwolisz, będę prowadził. O której wyjeżdżamy?

- Około wpół do trzeciej. Muszę im jeszcze coś podrzucić.

Dane postawił Sunny na ziemi, a mała nadstawiła policzek.

- Daj całuska!

Ucałował ją i pogłaskał po główce. Maria nie mogła od nich oderwać wzroku. Byłby takim cudownym ojcem!

W drodze na ranczo wiele nie rozmawiali. Dane przebywał myślami gdzieś daleko, zupełnie jakby już ją opuścił. Kiedy dotarli na miejsce, Sunny natychmiast pobiegła do ciotek nadmuchiwać balony, a Dane zaczął rozmawiać z Tomem.

Maria czuła, że jest spięty i maskuje niepokój.

Poszła do kuchni, chcąc podgrzać przywiezioną przez siebie potrawę. Kiedy wszedł, wpadła w panikę.

- Twój ojciec przysłał mnie po coś do picia - wyjaśnił. Oboje równocześnie podeszli do lodówki i omal się nie

zderzyli. Spojrzała mu w oczy i pomyślała, że Dane zaraz ją pocałuje. Odsunął się jednak, a w jej duszy rozległo się błaganie. Zostań ze mną, chciała krzyknąć, nie zostawiaj mnie!

Ale usta zamknęła jej duma, duma i rozsądek. Co to byłoby za małżeństwo, gdyby go do czegoś zmuszała?

- W lodówce jest lemoniada - powiedziała obojętnie, otwierając drzwiczki.

Wszystko stracone...

Tymczasem goście bawili się w najlepsze. Maria wiedziała, że zaraz nadejdzie czas niespodzianek przygotowanych przez nią i jej rodzeństwo, i udała się na patio.

Rita i Cole demonstrowali właśnie własnoręcznie wykonane rysunki obrazujące historię miłości jubilatów. Potem Doug wręczył rodzicom srebrną tacę z wygrawerowanymi imionami wszystkich dzieci i wnucząt, a Maria kopertę z biletami na wycieczkę.

Carmella o mało się nie rozplakała.

- Jedziemy do Meksyku, Tom, na cały tydzień! Ale... kto w tym czasie zajmie się ranczem?

Dzieci miały już przygotowaną odpowiedź.

- My, mamó - oznajmił Doug. - Będziemy się tu zmieniać i wszystkiego dopilnujemy. A wy z tatą bawcie się dobrze.

Nastąpiły uściski, popłynęły łzy radości i zapanowało ogólne wzruszenie.

Maria bała się spojrzeć na Dane'a. Czowała, jak bardzo jest spięty, i niemal widziała jego myśli. Strasznie musi żałować, że tego rodzaju szczęście zostało mu odebrane raz na zawsze...

Zachód słońca zastał ich przy stole i kiedy pierwsze chmury zasnuły niebo, wniesiono desery. Rozległ się grzmot, potem drugi, i goście pomału zaczęli się żegnać.

Dane schronił się w pracowni Marii, postanowiwszy tam na nią poczekać. Joe w tym czasie pomagał siostrze zbierać naczynia ze stołu i nosić je do kuchni. W pewnej chwili spojrzął na nią spod oka.

- Pokłóciliście się? Jakoś się unikacie.

Nie udawała, że nie rozumie, o kogo mu chodzi.

- Nie mam siły ci tego tłumaczyć, braciszku - westchnęła.

- To fajny facet. Miałem nadzieję, że ty i on...

- On tu nie zostanie. Dostał pracę na uczelni i wyjedzie - ucięła, żeby mieć to już za sobą.

Joe nie ustępował.

- Nie pojedziesz z nim? To chyba dobry pomysł. Uniosła na niego wzrok pełen smutku.

- Nikt mnie o to nie prosił...

Wtedy jej mały braciszek zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego. Poklepał ją po ramieniu i oświadczył dorosłym tonem:

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Jestem tego pewien.

Jakby na potwierdzenie tych słów ponownie zagrzmiało i srebrna błyskawica przecięła niebo.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy opuścili ranczo, lunął deszcz. Ponad nimi raz po raz przetaczały się grzmoty, strzały błyskawic przecinały niebo.

Dane zerknął na milczącą Marię. Od sceny w kuchni nie odezwała się do niego ani słowem.

W obawie, że burza przestraszy Sunny, spojrzął w lusterko. Dziewczynka spokojnie bawiła się lalką.

Jechał tą drogą już nieraz, ale nigdy w takiej ulewie. Dokoła robiło się coraz ciemniej, jezdnia powoli zamieniała się w rwący strumień. Urwiste strome zbocza po obu jej stronach robiły wrażenie tunelu.

Czasy szczerych rozmów z Marią odeszły w przeszłość i wszystko między nimi uległo zmianie.

Nagle w urwisku zrobiła się wyrwa i woda chlusnęła jak z przerwanej tamy. Samochód stracił przyczepność i zatańczył w silnym prądzie. Dane kurczowo zacisnął ręce na kierownicy, rozpaczliwie próbując odzyskać kontrolę nad pojazdem.

Nie udało się; woda porwała samochód i przez kilkanaście metrów niosła go przed sobą. Wylądowali pod skalistym zboczem niebezpiecznie przechyleni na prawą stronę.

W głowie Dane'a zakłębiły się wspomnienia tamtego dnia i tamtego wypadku. Powróciło widmo dawnej bezsilności. Od strony pasażera mętna woda zaczęła sączyć się do wnętrza samochodu... Sunny rozpląkała się, Maria zmartwiała z przerażenia.

Zebranie sił zajęło mu kilka sekund. Skoncentrował się na niebezpieczeństwie i podjął decyzję. Tym razem wszystko będzie inaczej. Historia się nie powtórzy; tym razem uratuje tych, których kocha. Marię i Sunny.

Kocha Marię i Sunny.

Od strony pasażera woda podchodziła coraz wyżej, ale od strony kierowcy samochód na szczęście zawadził o skałę. Gdyby tylko udało się otworzyć drzwi...

Uchylił okno i ocenił odległość; można spróbować. Sunny płakała coraz głośniejszym głosem, na twarzy Marii malowała się panika.

- Jesteśmy w pułapce - szepnęła. - Utopimy się...

- Nic się nie stanie, zaraz się stąd wydobędziemy - oświadczył Dane, przekrzykując szum ulewy i płacz dziecka.

Stanowczym głosem dodał sobie pewności.

- Wydostaniemy się na skały i wdrapiemy na górę. Maria wbiła w niego przerażone spojrzenie.

- Nie damy rady, Sunny tego nie zrobi. Dane odpiął pasy bezpieczeństwa.

- Nie bój się. Zaufaj mi, wydobędę was stąd. Muszę tylko otworzyć drzwi.

- Dane...

Przechylił samochodu sprawiając, że od jej strony woda bez przerwy przenikała do wnętrza. Nie było czasu do stracenia.

- Odepnij pas - rozkazał.

- Nie mogę - odparta ze łzami w oczach.

Wiedział, że każdy jego ruch może spowodować katastrofę. Samochód straci równowagę i da się ponieść fali. Powoli wysunął prawą rękę i nacisnął zapinacz pasa. Jak dobrze, że Maria namówiła go na rehabilitację... Gdyby w porę nie pomogła mu usprawnić dłoni, nie mógłby tego zrobić.

- Daj mi rękę! - rozkazał.

- Najpierw Sunny - jęknęła Maria. - Ratuj Sunny, wyciągnij ją stąd.

- Wyciągnę was obie, przysięgam. Weź mnie za rękę. Spojrzał jej w oczy i zrozumiał, że mu zaufała; ułamek sekundy później poczuł jej rękę w swojej.

Otworzył drzwi auta tak szeroko, jak mu na to pozwoliła skała, i wydostał się na zewnątrz, ciągnąc za sobą Marię.

Ulewa jeszcze się wzmogła i skulili się pod chłodnymi strugami deszczu. Potem Dane pochylił się, wsunął z powrotem do pojazdu i ukląkł na przednim siedzeniu.

- Co chcesz zrobić?

- Muszę tędy wydostać Sunny. Połóż się całym ciężarem na masce, żeby samochód się nie przechylił.

Przerażenie nie przeszkodziło jej go usłuchać.

Dane wyciągnął ramiona i uwolnił dziecko z fotelika.

- Chodź do mnie, maleńka - powiedział spokojnym głosem i dziewczynka stanęła na tylnym siedzeniu.

Unikając gwałtownych ruchów, uniósł ją i przesunął między zagłówkami przednich foteli. Z równym opanowaniem, jak na zwolnionym filmie, wręczył ją płaczącej matce.

Maria rozpaczliwym ruchem przytuliła dziecko do siebie i zastygła w strugach ulewy.

W tej chwili samochód drgnął, oderwał się od skały i popłynął z nurtem rzeki, w którą zamieniła się droga.

Maria wydała okrzyk grozy.

Dane uniósł oczy ku niebu i podziękował opatrności za ratunek. Czul, jakby przed chwilą ratował nie tylko życie tej kobiety i dziecka, ale również odzyskiwał własne.

Wziął Sunny z ramion matki.

- A teraz zabawimy się w konika - powiedział wesoło. W oczach dziecka błysnęło zaciekawienie.

- Konika?

- Tak, zrobimy patataj. Wezmę cię na plecy i będziesz się mocno trzymać, dobrze?

Sunny wzrokiem poszukała matki.

- Nie bój się. Będę obok ciebie, nie spadniesz - uspokoiła ją Maria.

Dane dodał im odwagi spojrzeniem.

- Musisz bardzo uważać - powiedział do Marii. - W tych sandałkach, na mokrej skale... Poczekaj, zaraz zrobię ci linę.

Zdjął pasek, okręcił go na przegubie dłoni i podał jej drugi koniec.

- Trzymaj się tego.

- Mogę cię przecież ściągnąć w dół - powiedziała płaczkliwym głosem.

- Nie ściągniesz, wszystko będzie dobrze, nie bój się. No, ruszamy do góry, to tylko kawałek.

Droga była niedaleka, ale skała stroma i śliska.

Maria uniosła na niego wzrok; mokre włosy oblepiały jej pobladłą twarz. Dane'owi wydawało się, że dostrzega w jej oczach miłość.

- W drogę! - zakomenderował.

Szli tak krok za krokiem. Dane z Sunny na ramionach, wolno i ostrożnie, za nim za naprężonym paskiem podążała Maria.

W końcu wydostali się na szczyt urwiska i ciężko dysząc, stanęli na rozmięklej ziemi.

Dane zdjął sobie Sunny z ramion i przytulił do piersi.

- Wszystko w porządku, maleńka? - zapytał.

- Tak - odrzekła wesołym głosikiem.

Roześmiał się i zwrócił wzrok ku Marii, ledwo widocznej za szarą zasłoną deszczu.

- A ty jak?

Skinęła tylko głową; wyjęła mu z ramion dziecko i pokryła jego buzię pocałunkami.

Dane wyjął z kieszeni telefon komórkowy i zadzwonił po pomoc. Potem objął swoje kobiety i stali tak, głowa przy głowie, wzajemnie osłaniając się od ulewy.

Nie wiedział, jak długo tak tkwili. Ulewa z wolna zamieniła się w deszcz, deszcz przeszedł w mżawkę, a po chwili zaświeciło słońce...

Nie przestając się obejmować, podeszli na skraj urwiska i spojrzeli w dół. W oddali, wśród mętnej wody, tkwił niemal całkowicie zatopiony samochód. Maria odwróciła wzrok. Nie chciała tego oglądać; nie chciała wiedzieć, że byli o krok od zagłady. Uniosła ku niebu mokrą twarz.

Dane chciał jej coś powiedzieć, ale nie tu i nie teraz.

Gdy na niebie ukazał się łuk tęczy, pokazał ją dziewczynce. Teraz już wiedział, jaką podjąć decyzję.

Z drugiej strony, nieco poniżej urwiska, dobiegł ich warkot silnika; po płaskowyżu sunął czarny terenowy samochód szeryfa. To Jase McGraw i Wyatt Baumgardner przybywali na ratunek.

Rozbitkowie mogli próbować do nich zejść, ale postanowili nie ryzykować. Lepiej będzie, jak ratownicy wejdą po nich z linami i resztą ekwipunku.

Jase i Wyatt po chwili już przy nich byli. Obrzucili wzrokiem ich przemoknięte do suchej nitki ubrania.

- Boję się zapytać, co stało się z waszym samochodem - oświadczył na powitanie Jase.

Dane wzrokiem wskazał mu Marię i szeryf natychmiast zrozumiał.

- Jak się czujesz?

Skinęła tylko głową. Wyciągnął ręce po dziecko.

- A teraz zniosę cię na dół do samochodu. Mam tu dla ciebie taką huśtawkę.

Malutka znowu poszukała wzrokiem mamy.

Maria przytaknęła.

- To dobry pomysł. Jase cię weźmie, a my z Dane'em będziemy szli obok.

Sunny natychmiast skinęła główką.

Dane poczuł nagle niepokój. Z jakiegoś powodu Maria nie chciała na niego spojrzeć. Czuł przepelniające go uczucie i pragnienie otwarcia przed nią serca, a ona unikała jego

wzroku. Może jest już za późno? Może zbyt późno, dopiero w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa, pojął, że ta kobieta i to dziecko są jego życiem...

W czterdzieści pięć minut później wysiadali z samochodu przed domem. Maria ucałowała na pożegnanie obu ratowników, Dane serdecznie uścisnął im dłonie. Potem w milczeniu poszli w kierunku swoich mieszkań. Maria przyciskała Sunny do piersi, tak jakby już nigdy nie miała jej puścić.

- Może ci pomóc? - zapytał Dane, gdy mijali drzwi jego mieszkania.

Maria pokręciła głową.

- Zaraz weźmiemy gorący prysznic i wszystko będzie dobrze.

- Zrobię to samo, a potem porozmawiamy...

- To nie jest dobry moment, Dane.

- Musimy porozmawiać, Mario. To tylko kilka minut, wszystko ci wyjaśnię. Daj mi swój klucz. Sam sobie otworzę, gdybym wcześniej skończył.

Spojrzała na niego smutno, otworzyła drzwi i spełniła jego prośbę.

- Mam butelkę brandy, przyniosę ją - dodał. Bez słowa weszła do siebie.

Po kwadransie Dane siedział na kanapie w jej salonie; przed nim na stoliku stała butelka i dwa kieliszki.

Z sypialni doszedł go jej szept i po chwili Maria stanęła przy nim.

- Sunny zasnęła...

Miała mokre, umyte włosy, białe szorty i żółtą bluzę. Wyglądała jak zjawisko. Jak tęcza, która nada barwy jego życiu. Uniosła dumnie głowę, wiedząc, co usłyszy.

Dzisiejszy wypadek musiał mu uświadomić, że kolejny związek z kobietą i dzieckiem pociąga za sobą

odpowiedzialność i walkę na śmierć i życie w chwili zagrożenia. Widziała jego oczy wtedy w samochodzie, kiedy stało się jasne, że grozi im śmierć. Ona i Sunny stanowią dla niego psychiczne obciążenie, wyzwanie miłości. A Dane już nie chce odpowiadać na żadne wyzwania. Nie chce ponosić odpowiedzialności za czyjeś życie. Jest śmiertelnie znużony.

Kiedy wreszcie pokonali to urwisko, na jego twarzy odmalowała się wielka ulga... Spełnił swój obowiązek i teraz może spokojnie na zawsze opuścić Red Bluff.

Ona na to nic nie poradzi. Dane chce być wolny.

Podaruje mu wolność, bo go kocha.

- Dziękuję ci za to, co dla nas zrobiłeś - powiedziała drżącym głosem, czując, że łzy płyną jej po policzkach.

Delikatnie otarł jej oczy.

- Nie mogłem was stracić - odezwał się łagodnie. - Byłem szalony, kiedy myślałem, że mogę bez was żyć.

- A co będzie z Baybride? Co z twoją karierą? - spytała zdławionym głosem.

Serce biło jej mocno, jakby wiedziało, że ważą się jej losy.

- Nic nie jest ważne w porównaniu z tobą i Sunny. Wyjdiesz za mnie, Mario?

Po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co powiedzieć. Dane patrzył na nią z uśmiechem.

- Ty, zawsze taka elokwentna... Odpowiedz mi, czekam.

Może to jego uśmiech, a może słowa, może spojrzenie, a może obecność sprawiły, że nagle poczuła, jak ogarnia ją bezmierne szczęście.

- Chyba rzeczywiście zabrakło mi słów - odparła - ale potrafię udzielić ci odpowiedzi w inny sposób.

Zarzuciła mu ręce na szyję, mocno objęła i pocałowała w usta. Potem lekko się odsunęła i poszukała jego oczu.

- Jesteś pewien, że chcesz zostać w Red Bluff? Dobrze sobie wszystko przemyślałeś?

Objął ją i mocno przytulił.

- Nie zamierzam nigdzie wyjeżdżać. Lubię pracę w naszej małej przychodni - powiedział. - Będę chodził na fizykoterapię do ciebie albo jeździł do Albuquerque, a jeśli całkiem odzyskam sprawność, mogę zatrudnić się jako chirurg w tamtejszym szpitalu.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnęła. - Chcę, żebyś wiedział, że jeśli... jeśli tylko zechcesz... pojedę z tobą wszędzie.

Wierzyła w swoje słowa. Dane był miłością jej życia i jej przeznaczeniem. Pojechałaby za nim na kraj świata. Kochała swoją rodzinę, ale jego kochała bardziej.

Objął ją i pocałował.

- Zostaniemy tutaj, kochanie. Tutaj znalazłem dom, a twoi rodzice chyba zaczynają mnie lubić.

- Należysz już do rodziny. - Maria wtuliła się w jego ramiona. - Joe uważa cię za fajnego faceta, a rodzice... Oni wiedzą, że cię kocham, i chcą, żebyś była szczęśliwa.

- Będiesz ze mną szczęśliwa - zapewnił ją Dane. - Mam w sobie tyle miłości, że starczy nam na całe życie.

Słońce już zachodziło i niebo emanowało niezwykłym złocistym blaskiem, dostojnie przechodzącym w róż i purpurę. Orkiestra na patio zagrała i państwo młodzi zaczęli tańczyć.

Maria w sukni z białego atłasu wyglądała zjawiskowo pięknie. Dane tulił ją do serca, wiedząc, że ta cudowna istota od dziś należy do niego.

- Tak bardzo bym chciała, żeby dzisiejszy dzień nigdy się nie skończył - szepnęła.

- Gdyby się nie skończył, nie nadeszłoby jutro - odparł, ustami muskając jej włosy.

Była połowa października i czekała ich noc poślubna. Ani razu się ze sobą nie kochali, postanowiwszy zachować wstrzeźliwość. Ostatnie dwa miesiące spędzili w wirze

przygotowań do obrzędu, który odbył się w małym katolickim kościele w Red Bluff.

Wesele oczywiście wyprawili na rodzinnym ranczu Carmelli i Toma. Marzenia z wolna stawały się rzeczywistością i życie zaczynało się od nowa.

- Rodzice stale mnie wypyują, gdzie zatrzymamy się w Albuquerque. - Maria uśmiechnęła się tajemniczo. - Ale im nie powiedziałam. Mają numery naszych komórek i w razie czego mogą dzwonić.

Dane roześmiał się.

- Bardzo sprytnie to załatwiłaś, ale jedna noc to bardzo krótko jak na miodowy miesiąc.

Udało im się znaleźć zastępstwo tylko na dwa dni, a potem musieli wracać do pracy.

- Nasz miodowy miesiąc zaczyna się teraz, w tej chwili - szepnęła z rozmarzeniem Maria. - Jestem taka szczęśliwa, że aż się boję.

Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Przy mnie nigdy nie będziesz się niczego bała. Zawsze będziemy razem. Nigdy nie przestanę ci dziękować za to, co dla mnie zrobiłaś. Podarowałaś mi drugie życie. Przyjechałem tu zagubiony i nieszczęśliwy. Pomogłaś mi odnaleźć siebie i miłość. Kocham cię, Mario, kocham nade wszystko.

Nie zwracając uwagi na obecnych, zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła całować tak namiętnie, że goście oderwali się od weselnego tortu i zaczęli klaskać.

EPILOG

Dane stał przy kominku, obejmując Marię. Przed dwoma tygodniami razem z Sunny przeprowadzili się do pięknego nowego domu i teraz przyjmowali w nim najbliższych.

Oprowadzili właśnie rodzinę i przyjaciół po trzech sypialniach, obszernej kuchni i salonie z wygodną kanapą, zakupioną na wypadek, gdyby ktoś chciał u nich przenocować, i szykowali się do obwieszczenia bardzo dobrej nowiny.

- Maria i ja - zaczął z uśmiechem Dane, mocniej obejmując żonę - chcieliśmy wam coś powiedzieć. - Zawiesił na chwilę głos. - Będziemy mieli dziecko.

Wszystkie głowy zwróciły się ku nim, rozległy się śmiechy i gratulacje. Carmella ucałowała córkę, a Tom uścisnął zięciowi dłoń. Chórem życzone im wszystkiego najlepszego, a kilka głosów zaczęło ostrzegać przed nieprzespanymi nocami.

- Da się wytrzymać - orzekł Jase McGraw, i na tym stanęło.

Dane nie posiadał się ze szczęścia. Znowu miał rodzinę i żonę, czuł się ojcem, a mała córeczka Marii dała mu wiele radości.

Kiedy goście przeszli do kuchni na poczęstunek, Maria uniosła ku niemu oczy.

- Trzeba będzie się rozejrzeć za jakimś lekarzem, ktoś musi mnie zastąpić. Sam nie dasz sobie rady. Poza poradnią, pracujesz przecież w Albuquerque.

Nie mieli jeszcze okazji wszystkiego szczegółowo omówić.

- Myślisz o kimś na jakiś czas? - zapytał Dane.

- Nawet na dość długi - odparła. - Chciałabym zostać z dzieckiem w domu. Myślisz, że jakoś sobie poradzimy?

- Oczywiście. Na razie zostaniesz z dziećmi w domu, a kiedy zechcesz, wrócisz do pracy. Tak się cieszę, że sprawa adopcji dobiega końca i wkrótce będę oficjalnie ojcem Sunny.

Maria przytuliła się do niego.

- To był doskonały pomysł. Prawie tak dobry jak to, żebym została twoją żoną.

Roześmiał się, a Sunny podbiegła i wyciągnęła do niego rączki. Wziął ją na ręce i stał tak, tuląc je obie i myśląc, w jaki sposób zasłużył sobie na tyle szczęścia.

W Red Bluff dostał wszystko: kochającą kobietę i córeczkę, która śmiechem przeganiała wszelkie troski, a teraz jeszcze urodzi im się dziecko, będące symbolem ich duchowej i cielesnej jedności.

Usłyszał głos Marii.

- Bardzo cię kocham, Dane.

- Ja ciebie też bardzo kocham, na zawsze. Pocałował ją, czując ciepło ognia na kominku i słysząc dobiegające z kuchni głosy przyjaznych ludzi.

Przeszłość odeszła w dal i jego serce otworzyło się na przyszłe dni.

- Chodź, pójdziemy do nich - szepnął.

I razem, ręka w rękę, z sercem przy sercu, poszli w nowe życie, pełne obietnic i nadziei.